Nr. 42. Warszawa, dnia 17 (5) Października 1891 r. **Rok XI.**

PRAWDA

FILOZOFIJA — NAUKI SPOŁECZNE — NAUKI PRZYRODNICZE — HISTORYA — JĘZYKOZNAWSTWO — SZTUKA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2**. k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

ŚMIERĆ PARNELLA.

Społeczeństwo bywa często bezlitosnym okrutnikiem, który dla własnego dobra poświęca najlepsze swoje dzieci. Trudno zaś o wymowniejszy pod tym względem dowód nad śmierć Parnella. Człowiek ten niewątpliwie wywiódł Irlandyę z niedoli, a przynajmniej wytoczył w jej imieniu proces Anglii, który wkrótce otrzyma pożądane rozwiązanie. Zawodna rzecz snuć przypuszczenia nawet co do przeszłości; zdaje się wszakże, iż bez niego sprawa ta spoczywałaby dotąd w archiwach politycznych. Dziwne to było zaszczepienie się szlachetnej płonki na pniu obcym, zdziczałym. Anglik, potomek lordów, protestant, zrósł się z ludem irlandzkim i katolickim, a zrósł się tak mocno, jak gdyby należał do jego rdzenia. Nigdy chyba w historyi nie widziano podobnego zjawiska. Parnell bowiem nie był idealnym przyjacielem i adwokatem Irlandyi, ale stał się krwią z jej krwi i kością z jej kości, przewodnikiem narodu, używającym nieograniczonego zaufania, „niekoronowanym królem,“ w rzeczywistości dyktatorem, którego woli miliony czcicieli poddawały się ślepo. Panował daleko bezwzględniej, niż Bismark, gdyż długo śród swoich nie miał przeciwników i nie rozporządzał żadną władzą. Nie był on wodzem, ale raczej mesyaszem, rodzajem Mojżesza, który zstępował do ludu z przykazaniami. Chociaż otoczony przyjaciółmi, nie zwierzał się im i nie pytał ich o radę, milczał, ciągle zamknięty w sobie, a nieraz nikł im zupełnie z oczu, a oni daremnie go szukali. Jego słowa były dla wiernej rzeszy prawem; słuchano tylko jego poleceń i nie pytano o pobudki lub zamiary. Tak rzekł i postanowił — to wystarczało.

Ludzie, którzy mieli sposobność zajrzeć w tę tajemniczą duszę, twierdzili, że ona jest ciasna i pusta, że spoczywa w niej zaledwie kilka obcych myśli, kilka sprężyn, nadających ruch jego woli. Nie był to reformator oryginalny, ale działacz zimny, noszący w swej piersi siłę nieugiętej, chociaż spokojnej energii. Co on zrobił—wskazali inni, ale on zrobił i nikt w czynie wyrównać mu nie mógł. Idea samorządu Irlandyi, liga narodowa, cały szereg dźwigni politycznych, któremi podważał Anglię — wszystko to nie są pomysły jego własne, on wszakże uczynił je niebezpiecznymi i skutecznymi orężami w walce za Irlandyę.

Tak o nim mówiono. Mamyż zgodzić się na tę charakterystykę? Mogłaby nas ona łatwo w błąd wprowadzić. Bo któż zdoła rzec coś pewnego o twarzy szczelnie zamaskowanej, a tem mniej o umyśle wiecznie zamkniętym i objawiającym się tylko w czynach? Nie kusząc się też o psychologiczne rozjaśnienie zagadkowej natury Parnella, musimy poprzestać na zewnętrznych dowodach jego zdolności, które złożył jako polityczny kierownik Irlandyi, a za które otoczyła ona jego głowę nimbem nieśmiertelnej chwały. Tego mu nikt nie zaprzeczy, że był jej dobroczyńcą.

Ale — jak zauważyliśmy — społeczeństwo mierzy jednostki swoimi interesami, dla których nie zna za wielkiej ofiary. Mimo tej czci, jaką oddano zwłokom bohatera, mimo żalu, w którym pozornie roztopiły się świeże ku niemu niechęci za rozdarcie narodu na dwa stronnictwa, wdzięczna Irlandya mówi głośno lub szepcze cicho, że jej przybrany a najdzielniejszy syn umarł w porę, że powinien był umrzeć. Jest to ostatnia a wielka jego zasługa. Brzmi ona dziwnie a jednak prawdziwie. Nie proces z przyjacielem o uwiedzioną żonę, nie obłudnie rozdymana zgroza, jaką okrzykiwali przeciw niemu faryzeusze angielscy z Gladstonem na czele, lecz zachowanie się Parnella w tej sprawie i w walce z towarzyszami sprowadziło go ze stanowiska bohatera na poziom człowieka chciwego władzy. Otrzymał ją od narodu drogą wyboru — powinien był jej wyrzec się, gdy mu ją chciano odebrać. Tej godności, którą piastował, nie mógł zatrzymać mocą pięści, utarczek z odszczepieńcami, wymysłów, grożących waśni i przywłaszczycielstwa. Gdyby się znalazła setka ludzi, cofających mu swoje zaufanie, Parnell przestałby być „niekoronowanym królem“ Irlandyi, a znalazły się ich setki tysięcy. Z tego położenia otwierała się dlań tylko jedna, szlachetna droga: powinien był złożyć buławę i usunąć się zupełnie. Wtedy, gdyby inni wypróbowali swoje siły w przewodnictwie, gdyby naród przekonał się, że mu go nikt nie zastąpi, że go opuścił lekkomyślnie i obraził niewdzięcznie, byłby do niego znowu się zwrócił i przed sobą postawił. Na to Parnell zdobyć się nie mógł, lecz kurczowo trzymał buławę, którą mu gwałtem wydzierano i której używał jako kija do bicia zbuntowanych towarzyszów. Ponieważ zaś dawnym urokiem przykuwał jeszcze do siebie sfanatyzowanych wielbicieli, więc utrzymywał Irlandyę w niebezpiecznem rozłamaniu, które ją osłabiło i które przechodziło w stan chroniczny. Po jego śmierci rozerwane części prędzej czy później połączą się, a chociaż nie będą miały w sobie wielkiej duszy, odzyskają siłę zrostu. Oto dlaczego ze smutkiem nad mogiłą Parnella zmieszała się radość. Interesy społeczne wymagały jego śmierci, skoro ustąpić nie chciał. Była to konieczność bolesna, ale nieunikniona. Przywdziawszy żałobę, irlandczycy zasiedli do chłodnego rachunku. Obliczają, że teraz mogą się spoić w kraju i w parlamencie, że zniknęła przeszkoda, oddzielająca ich od liberałów angielskich, że znowu wystąpią jako gromada zwarta i wzmocniona sojuszem — a to wszystko ma zbyt wielkie dla nich znaczenie, ażeby chcieli, gdyby mogli, wskrzesić Parnella. Z pobożną czcią kładą oni wieńce na jego grobie, ale w głębi duszy są zadowoleni, że już nie żyje. Już on bowiem szczęścia dać im nie mógł od chwili, gdy go zapragnął dla siebie.

LISTY SPOŁECZNO-POLITYCZNE O FRANCYI.

XVIII.

Koniec epopei. — Resztki bulanżyzmu. — Kampania radykalizmu. — Okólnik p. Bourgeois. — Mgr. Hugonin. — Mowa p. de Mun'a.

Karol II uważał wszystkich ludzi za przedajnych: jest tylko różnica w cenie. Sztuka utrzymania się na właściwym jej poziomie nazywa się u mężów nieprzekupnością, u ładnych kobiet — cnotą. Życie polityczne na każdym kroku potwierdza trafność tego sądu. Etyka nie używa tu nawet płaszczyka obłudy. Egoizmy występują z bezczelną nagością. Historya Boulangera dostarczy pod tym względem moralistom wiele sposobności do dumań. Interesy partyjne rozdęły tę żabę do rozmiarów wołu: był przez dzień jeden bóstwem Francyi. Jest to fakt prawie nie do uwierzenia, byliśmy jednak wszyscy jego świadkami. Widział u nóg swych kraj cały: radykałów i konserwatystów, republikanów i rojalistów, robotników i burżuazyę, księży i niedowiarków. Gdy obiadował z ludźmi, noszącymi największe nazwiska Francyi, damy były mu prezentowane stojąc, a pojawienie się jego witano fanfarą królewską. Nigdy służalczość ludzka nie gięła karku tak nizko. Jakkolwiek nie wygrał żadnej bitwy, miał sławę zwycięzcy z pod Piramid, miał swój portret i portret swego czarnego konia, współzawodnika popularności, we wszystkich pałacach i lepiankach Francyi. Miał czarujący naród kobiet i niezliczone szeregi polityków; honor mężów i cześć niewiast na wyścigi ofiarowywały mu swą cnotę i nieprzekupność. Był wielkim i historyk ani na chwilę nie wahałby się z udzieleniem mu tego tytułu, gdyby skorzystał z licznych sposobności zrobienia zamachu stanu. Brakło mu już tylko morderstwa kilkudziesięciu tysięcy ludzi, aby zbudować sobie stałe ołtarze w sercach i pamięci tłumów; byłby wówczas źródłem praw, obyczajów i moralności. Ale traf zrządził inaczej: wzniósł się na niebo, jak meteor i spadł, jak błyskawica. Ludzie, którzy nie mieli dość śliny dla lizania mu butów, odwrócili się odeń z obojętnością, częściej z pogardą. Tytułu do wielkości historya mu odmówi, odmówiono mu nawet — i słusznie — podobieństwa do umierającego lwa, gdy niedawni wielbiciele wschodzącego słońca zaczęli nań plwać, gdy księżniczki udawały, iż go nie poznają, a książęta zapewniali, że chcieli go użyć tylko za miotłę. I wszystko to miało zakończenie romansu mieszczańskiego, niepozbawione zresztą śmieszności: sześćdziesięcioletni Romeo, dziadek pięciorga wnuków, przeszywa się kulą na grobie Julii z okrzykiem: „i pomyśleć, że mogłem przeżyć bez ciebie dwa i pół miesiąca!“ Zadziwiająca stałość uczucia u tego Jowisza, którego Junona wraz z komisarzem policyi znajdowała codziennie w innym hoteliku podejrzanego charakteru i który zresztą przed połową roku jeszcze z nizkością zwykłego rastaquouere'a ogłosił światu, że był kochankiem ks. d'Uzes, dlatego, iż zamknęła mu kasę. Istotnej przyczyny samobójstwa trzeba raczej szukać w olbrzymiej zmianie losu i w groźbie nędzy materyalnej, przed którą się znajdował. Nie był to charakter również stały w szczęściu, jak i nieszczęściu; niepowodzenie go oszołomiło, na niepowodzenie szukał lekarstwa w kuli, zostawiając po sobie pamięć kolosalnej fortuny, zapadłej w tragicznej ruinie. Dla resztek partyi, której udzielał imienia, śmierć jego będzie ciosem ostatecznym. Bo jakkolwiek Rochefort w manifeście, podpisanym także przez głównych stronników nieboszczyka, zapowiada dalszą walkę, mającą na celu „zemstę za krew przelaną w Fourmies“ i „zakończenie z parlamentaryzmem mieszczańskim,“ to wątpić należy, aby fala opozycyi popłynęła za tymi ludźmi, zbyt już bowiem są zdyskredytowani. Natomiast można sądzić, że radykaliści zaciągną do swego obozu rozbitków bulanżyzmu i staną się wykonawcami jego testamentu. Z tego względu śmierć b. ministra jest dla obecnego rządu wcale niepożądaną. Radykaliści, pozbawieni nadal widma czarnego konia i pióropusza, a zasileni dopływem nowych rekrutów, energiczniej prowadzić będą z gabinetem walkę, która wobec wspólnego wroga musiała być na pewien czas zawieszona.

Porzucony przed dwoma laty program rewizyi konstytucyi na nowo zostanie podjęty, gdyż niezadowolenie w masach jest nader głębokie, a jeżeli na czele jego nie staną radykaliści, to na pewno znajdzie sobie ono jakiś nowy i niemniej wstrętny odpływ. Nie trzeba bowiem zapominać, że wraz ze śmiercią Boulangera nie zniknął bynajmniej „bulanżystowski nastrój,“ co nieboszczyk słusznie zauważył, mówiąc w swym testamencie politycznym: „uno avulso non deficit alter.“ Kto będzie tym „drugim,“ trudno powiedzieć, nie ulega tylko wątpliwości, iż on się na pewno pojawi, jeżeli radykaliści znowu zaśpią gruszki w popiele. Tymczasem jednak energicznie zabierają się do pracy. Ich dzienniki prowadzą prawidłową kampanię przeciw gabinetowi i prezydentowi Rzeczpospolitej, a panom Freycinet i Ribot dostaje się nie mniej, niż Carnotowi. Ten ostatni surowo skarcony został przez *Justice*, *Lanterne* i *Radical'a* za to, że w ostatniej swej podróży przychylnie, a nawet gorąco odpowiadał na komplimenty duchowieństwa. Starcie między radykalistami a umiarkowanymi jaskrawie występuje w samym gabinecie. Podczas gdy jego przewodniczący, ministrowie spraw wewnętrznych i zagranicznych nie mają dość słów dla zachęty i przyciągnięcia kleru, minister oświaty, radykał Bourgeois, wydaje rozporządzenie, aby księża w modlitwy swe włączyli formułę: „Domine, salvum fac Respublicam,“ grożąc inaczej cofnięciem pensyi, na zasadzie punktów przewidzianych przez Konkordat. Jest to oczywista szykana, gdyż Rzeczpospolita może się obejść bez opłaconych modlitw, których nb. domaga się znany materyalista i ateusz. Kler zresztą prawdopodobnie ustąpi. Z drugiej strony były minister radykalny Goblet wystąpił z ponownem żądaniem rozdzielenia kościoła od państwa, wymazania budżetu kultów, rozproszenia kongregacyi i zaboru wzrastających ich dóbr. Szanowny radykał milczał o wszystkich tych pięknych rzeczach, gdy był u władzy, przypomniał je sobie dopiero teraz, gdy się znalazł na mieliźnie. Reformy te wydają mu się konieczne dla obrony Rzeczpospolitej od niebezpieczeństwa, jakiem jej grozi obecna zmiana polityki konserwatywnej.

KNUT HAMSUN.

GŁÓD.

(Dokończenie).

Jest może teraz koło czwartej, za parę godzin zastanę dyrektora teatru; gdybym tylko do tej pory dramat mój zdołał ukończyć. Wyjmuję rękopis, z całej mocy, ze wszystkich sił pragnę skreślić koniec, trzy ostatnie sceny. Myślę, pocę się, czytam od początku, dalej ani rusz. Tylko bez głupstw! — mówię — bez uporu! I nie czekając, zabieram się do pisania, piszę wszystko, co myśl przynosi, aby dalej. Istotnie posuwam się trochę. Chcę wmówić w siebie, że znowu wielka dla mnie nastała chwila, okłamuję się, piszę co żywo, jak gdybym wcale nad wyborem słów zastanawiać się nie potrzebował. To dobre! To skarb! — szepczę od czasu do czasu: zaraz zanotuj!

Końcowe ustępy wydają mi się trochę podejrzane: dziwnie odbijają od pierwszych scen; przytem niema ani jednego tonu średniowiecznego w mowie mnicha. Gryzę ołówek, zrywam się, drę rękopis, przedzieram każdą kartkę z osobna, rzucam kapelusz na ziemię i depczę po nim. Jestem zgubiony!—mówię szeptem—panowie i panie, jestem zgubiony! Powtarzam wciąż te słowa, depcząc kapelusz.

O parę kroków stoi policyant: obserwuje mnie. Stoi na samym środku ulicy i tylko mnie ma na oku. Spojrzenia nasze spotykają się; może on już oddawna na tem stoi miejscu, może oddawna tylko mnie się przygląda. Podnoszę kapelusz, wkładam go na głowę i zbliżam się ku niemu.

— Czy nie mógłby mi pan powiedzieć, która teraz godzina? — pytam.

Waha się chwilkę, poczem wyjmuje zegarek; oka ze mnie nie spuszcza.

— Czwarta dochodzi! — rzeknie.

— Tak jest! — odpowiem. Czwarta dochodzi! Tak jest. Rozumie się pan na rzeczy, jak widzę... Nie zapomnę o panu...

I z tem oddalam się. Zdumiony do najwyższego stopnia, policyant spogląda za mną z otwartemi ustami; zegarek ciągle jeszcze trzyma w dłoni. Doszedłszy do Royal, oglądam się; stoi jeszcze wciąż na tem samem miejscu — patrzy za mną.

Jestem bardzo z siebie zadowolony i zaczynam nucić sobie pod nosem jakąś piosenkę... Wzburzony, pobudzony, nie czując żadnego bólu, żadnej dolegliwości, stąpam lekki jak piórko przez cały plac, koło bazarów skręcam na bok i siadam na ławeczce przy kościele Zbawiciela.

...Ostatecznie, nie jest że to rzeczą obojętną, czy odeślę te dziesięć koron, czy nie? Jeżeli mi je dano, to należą do mnie; skąd pochodzą — mniejsza! Przyjąć je musiałem, ponieważ wyraźnie mnie je posłano; nie miałoby przecież sensu zostawić pieniądze posłańcowi.., Jeszcze mniej wypada posłać zamiast tego zupełnie inny podarek. Rzecz więc skończona.

Staram się obserwować ruch uliczny, staram się zająć umysł innym przedmiotem, lecz niepodobna: myśl wraca wciąż do tych dziesięciu koron. W końcu zaciskam pięście, wpadam w gniew... Obrażę ją — mówię — odsyłając pieniądze; po co więc odsyłać? Dawniej zawsze zwracałem uwagę na to, co przystoi, zawsze kiwałem głową, mówiąc: nie, dziękuję! Teraz widzę, do czego mnie to doprowadziło — znowu jestem na bruku! Ciepłego, dobrego mieszkania nie zatrzymałem nawet podówczas, kiedy wszelkie miałem ku temu powody! Dumy mi się zachciewa, zapalam się przy pierwszem słówku, dziesięciokoronówkami rzucam na prawo i na lewo i... odchodzę... Smagam się ostro za to, że mieszkanie dawne rzuciłem i na podobne znowu wystawiłem się życie.

Zresztą niechby już dyabeł siarczysty wszystko to porwał!.. Nie prosiłem przecież o te pieniądze, prawie żem ich w ręku nie miał; oddałem je natychmiast, spłaciłem nimi obcych zupełnie ludzi, ludzi, których może już nigdy w życiu nie zobaczę. Tak, takim ja jestem człowiekiem, płacę zawsze co do szeląga, jeżeli trzeba. O ile znam Ylajali, to i ona nie żałuje, że mi pieniądze te przysłała: pocóż się więc męczę? To przecież najmniejsza uprzejmość, jaką mi wyświadczyć wogóle mogła; przysłe mi od czasu do czasu z dziesięć koron... Biedna dziewczyna, kocha się we mnie... I sam przed sobą chełpię się tą myślą. Bezwątpienia kocha się we mnie... biedna dziewczyna!..

Piąta godzina. Po długiem pobudzeniu nerwów powtórnie następuje reakcya; znowu uczuwam głuchy szum w głowie. Patrzę przed siebie, rozszerzam źrenice, wpa-

Istnieją inne jeszcze objawy zatargu między dwoma odłamami republikańskimi. Szef gabinetu Floqueta, p. Doumer, postawił swoją kandydaturę w departamencie Yonne przeciw p. Denormandie, oportuniście i jest faktem, iż kandydatura ta znajduje się pod protekcyą samego prezesa Izby. Ma to być tylko początek: radykaliści grożą, iż we wszystkich wogóle wyborach wysuwać będą oponentów kandydatom rządowym, podczas gdy dotychczas panowała zasada koncentracyi republikańskiej. Cała ta walka odbywa się pod wskrzeszonem na nowo hasłem Gambetty: „le cléricalisme, voila l'ennemi!“ Rozumie się, trudno wierzyć w szczerość księżej kokieteryi, ale kto zasługuje na zdemaskowanie, to oportuniści, którzy naraz stali się obrońcami religii i „wolności sumienia.“ Zresztą wszystkim wiadomo, iż nie są to zapasy niedowiarków z wierzącymi, gdyż oportuniści hołdują sceptycyzmowi religijnemu, a wolność sumienia bynajmniej w obecnych stosunkach zagrożoną nie jest — są to zapasy dwóch głównych współzawodników o miejsce przy zastawionym stole. Opozycya jednak przeciw obecnej polityce ma mało widoków powodzenia, gdyż prawica — z wyjątkiem nieprzejednanych, w rodzaju Cassagnaca — dezorganizować rządu nie myśli, przeciwnie, obiecuje go popierać o ile możności. Powodzenie radykalistów zależy od tego, czy sprzęgną swe obawy z żądaniem rewizyi i reform społecznych, co jedynie wciągnąć może do walki obszerniejsze masy. A sama tylko walka z klerykalizmem nie jest już w stanie ich zagrzać, nawet pod obawą wprowadzenia wilka do owczarni. Oto znowu mgr. Hugonin, biskup z Bayeux, poszedł w ślady swych poprzedników z Annecy, Grenoble'u itd. Wprawdzie nie wyrzeka się on niczego, konstatuje tylko, iż przy obecnym stanie rzeczy nie ma żadnych widoków odbudowania monarchii i że ślepy upór byłby szaleństwem. A zatem wymaga od kleru swej dyecezyi, aby się nie mieszał do polityki. Dyskretnie, ale jasno!

Mowa papieża z powodu pielgrzymki robotników francuskich, poprowadzonych do Rzymu przez arcybiskupa Reimsu i p. de Mun'a, także obliczona była na ułatwienie zgody między katolikami a oportunistami. Ci ostatni są wrogo usposobieni nietylko względem socyalizmu świeckiego, ale i względem chrześciańskiego, to też papież, komentując swą encyklikę o położeniu robotników, wskazał na to, czego nikt dotychczas w niej nie zauważył — gdyż nic podobnego w niej nie było — a mianowicie, iż kwestya społeczna przez interwencyę rządu rozstrzygnięta być nie może i że jedynie zbawienną w tym względzie jest praktyka cnót chrześciańskich. To odejmuje encyklice całe wrzekomo jej znaczenie. To też p. de Mun zbytecznie się pospieszył, twierdząc, iż „wdzięczność już wyznaczyła Leonowi XIII tytuł papieża robotników.“ Hiperbola przekracza tu granice dozwolone. Posłuchajmy zdania *Norda*: „Faktem brutalnym jest to, iż encyklika *De conditione opificum* bynajmniej nie zmieniła warunków walki społecznej w Europie. Większość klasy robotniczej widzi w tym dokumencie tylko zbiór doktryn uczciwych i szlachetnych, nieznajdujących się jednak w żadnym związku z rzeczywistością, albo też manewr obliczony na wyzyskanie kwestyi społecznej na korzyść kościoła. Można zaś śmiało twierdzić, iż encyklika nie nawróciła ani jednego socyalisty.“ A p. de Mun przemawiał w imieniu „klasy robotniczej.“

L. W.

NA DWU KRAŃCACH.

Szowinizm niemiecki mógłby śmiało zastosować do siebie w całej pełni przysłowie „wedle stawu grobla,“ a uniknąłby i wstydu i rozczarowania. Nie wiele to miesięcy upłynęło od chwili, gdy wybitniejsze jednostki społeczeństwa prusko-niemieckiego, zebrawszy się na wspólne narady, orzekły, że państwo niemieckie już stanowi jednolitą całość, w której nietylko szpary, lecz nawet skazy nie można dojrzeć i że należy się obecnie zająć niemcami, bawiącymi poza obrębem monarchii i spotęgować w nich poczucie jedności. Zdanie to, jak się okazuje, było wypowiedziane o wiele wcześniej, a autorowie jego niewątpliwie muszą się czuć bardzo upokorzonymi po wypadkach, które zaszły w ostatnich kilku tygodniach. Dziś już nie wywieszają oni swego sztandaru niemieckości, nie powiewają nim na wsze strony, lecz kryją się po kątach — okazało się bowiem aż nadto jawnem, że Niemcy pruskie, to zlepek państewek lat dwudziestu i długo jeszcze tym zlepkiem zostaną. Zanim Prusy zajmą się swymi współplemieńcami, mieszkającymi po za granicami monarchii, muszą się uporać wprzód z tymi, którzy wraz z nimi tworzą jedno społeczeństwo, pozornie jednolite i przerobić ich na swoję modłę. Bez tego Niemcy pozostaną, tem, czem były przed r. 1871.

Urzędowo pisma bawarskie podały nowy wojskowy projekt rządu pruskiego, organy zaś berlińskie ogłosiły szczegóły o zamiarze zaprowadzenia pewnych zmian w sądownictwie wojskowem — dwa te fakty dały powód prasie bawarskiej, nawet półurzędowej, do twierdzenia, że Bawarya i Prusy niemieckie nie mają nic wspólnego z sobą. Wszelkie ustawy, wypiastowane w kolebce pruskich ministeryów, mają tę cechę znamienną, iż zupełnie nie uwzględniają potrzeb poszczególnych plemion, jeno opierają się ściśle na bezwzględnym pruskim pierwiastku, do którego wszystkich chcą naginać. Bawarya była jedyną, która nigdy nie pominęła sposobności, aby Prusom dać do zrozumienia, że z nimi tylko konieczność ją łączy. Organy niezawisłe, ludowe, zaprowadziły nawet w tym kierunku stałe rubryki, pisma zaś półurzędowe sprawę tę pomijały przyzwoitem milczeniem, a sfery berlińskie ich postawę uważały właśnie za „miarodajną,“ posuwając politykę jednoczycielską z każdym rokiem dalej. Projekt wojskowy jednak był tą kroplą, która przebiera miarę i naczynie cierpliwości urzędowej Bawaryi się przepełniło. Dziś panuje w prasie bawarskiej, tak ludowej, jak półurzędowej, to jednomyślne przekonanie, że „Prusom idzie o zniesienie bawarskiej jawności rozpraw sądowych i o stworzenie najwyższego trybunału cesarsko-wojskowego pod hasłem centralizacyi, a więc przez z Prusami!“ Najpoczytniejszy monachijski *Fremdenblatt*, który nawet w Berlinie wyrobił sobie pewną powagę, tak pisze:

„Wiemy równie dobrze, jak inni, że na mocy zawartej ugody, Bawarya obowiązana jest przyjąć wspólne wojskowe prawo

---

truję się w aptekę „pod słoniem.“ Głód szaleje we mnie: cierpię straszliwie. Spoglądam w powietrze, gdy nagle przed oczami mojemi rysuje się postać, którą w końcu zupełnie dokładnie poznaję: to kramarka z pod apteki „pod słoniem.“

Drgnąłem, podnoszę się i rozważam. Tak, tak jest, ta sama baba z ciastkami, przy tym samym kramie, na tem samem miejscu! Pogwizduję sobie, klaskam palcami, wstaję i idę w stronę apteki. Tylko żadnych głupstw! Dużo mnie obchodzi, czy to pieniądz grzeszny, czy też uczciwy pieniądz kramarki, pieniądz ze srebra konsberskiego... Nie wolno być śmiesznym, z przesadnej pychy umrzeć można...

...Dochodzę do rogu, wpatruję się w przekupkę, staję przed nią. Uśmiecham się, kiwam głową, jak do starej znajomej i staram się tak ułożyć moją do niej przemowę, jakby samo przez się jasnem było, że jeszcze raz powracam...

— Dzień dobry! — pocznę. Czy mnie pani poznaje?

— Nie! — odpowie zwolna, przyglądając mi się.

Uśmiecham się jeszcze więcej, uważając niby zdziwienie jej za żart.

— Czy nie przypomina sobie pani, że kiedyś dałem jej kilka koron? Nic wtedy nie mówiłem, o ile sobie przypominam: nie jest to moim zwyczajem. Mając do czynienia z ludźmi uczciwymi, nie mam potrzeby układać się o byle co i, że tak powiem, spisywać kontrakty dla najmniejszej drobnostki... Ha, ha! Ja przecież dałem pani wtedy tyle pieniędzy!..

— Doprawdy? To pan? Tak, teraz pana poznaję, poznaję...

Nie chcę, ażeby mi za pieniądze dziękowała, mówię przeto prędko, wybierając sobie jednocześnie okiem ciasta.

— Otóż teraz przychodzę po moje ciastka! Tego ona już nie pojmuje.

— Po ciasta! Przychodzę teraz po moje ciasta! — wołam, śmiejąc się głośno, niby z tego, że ona nie odrazu zrozumieć mnie może. Biorę też ciastko ze stolika: jest to rodzaj chleba słodkiego — zaczynam jeść.

Zaledwie kramarka to spostrzega, wstaje i mimowoli czyni taki ruch, jak gdyby chciała stanąć w obronie swego towaru; daje mi do zrozumienia, że nie spodziewała się, iż wrócę po to, aby ją rabować.

— Nie! Doprawdy nie? A to doskonałe! Czy nie zdarzyło się pani nigdy, aby jej kto dał garść koron do przechowania, a potem zażądał ich zwrotu? Nie? Czy sądzi pani, że to były pieniądze kradzione, że ni stąd ni zowąd mogłem je pani rzucić? Nie, tego pani nie przypuszcza — to pięknie, bardzo pięknie! Bardzo to grzecznie ze strony pani, bardzo grzecznie, jeżeli tak wyrazić się można, że uważa mnie pani za uczciwego człowieka... Ha, ha! A to doskonałe!..

— Po cóż więc dał mi pan te pieniądze? Baba wścieka się, krzyczy na cały głos.

Objaśniam dobitnie, spokojnie:

— Postępuję tak zawsze, bo dobrze myślę o wszystkich ludziach. Zawsze, ilekroć zaofiaruje mi kto jakiś kontrakt, rewers, kiwnę przecząco głową, mówiąc: ...Nie, uprzejmie dziękuję! Dalibóg, tak zawsze czynię!

Ale kramarka jeszcze mnie nie rozumie.

Chwytam się innych środków, przemawiam ostro, przywołuję ją do porządku. Czy nie zdarzyło jej się nigdy jeszcze, ażeby kto naprzód w ten sposób zapłacił? Naturalnie, mam na myśli ludzi bogatych, ot, naprzykład, jednego z konsulów. Nie? Dobrze, ale ja przecież odpowiadać nie mogę za to, że ta nowa forma zwyczajowa jest jej nieznana... Za granicą inaczej się nie czyni! Może nigdy za granicą nie była? Nie? A więc! W takim razie głosu w tej sprawie zabierać nie może!.. Przy tych słowach zdejmuję jeszcze parę ciastek ze stolika.

Ona mruczy gniewnie, uparcie wzbrania się dać cokolwiek z jadła, nagromadzonego na stole, wyrywa mi nawet kawałek babki z ręki i składa go napowrót na miejsce. Wpadam w złość, biję pięścią o stół, grożę jej policyą. I tak łaskawie się z nią obchodzę — mówię: gdybym chciał wszystko zabrać, co do mnie należy, zniszczyłbym całą tę budę, bo dałem jej podówczas straszną moc pieniędzy... Tyle jednak nie wezmę, żądam tylko zwrotu połowy. Nadto, nigdy już nie wrócę; niech mnie Bóg uchowa, jeżeli taką jest osobą...

Wreszcie daje mi parę ciastek po bezwstydnej cenie, pięć, sześć sztuk, które szacuje niemożliwie wysoko; poczem każe mi odejść. Sprzeczam się z nią jeszcze, twierdzę, że oszukuje mnie o koronę i krwawemi temi cenami życie mi formalnie wypija.

— Czy wie pani, że istnieją kary za podobne oszustwa? Niech panią Bóg ma w swojej opiece! Mogła się pani na całe życie dostać do domu poprawy!

karne, ale sądzimy, że i najwyższe sfery bawarskie przyjdą do przekonania, że bez potrzeby nie wolno im się zrzekać dalszych praw korony. W Prusach powinni przecież wreszcie uznać, że wszystko ma pewne granice i że król bawarski nie może uchodzić za hołdownika pruskiego. W Bawaryi prawo winno być wykonywane z ramienia króla dopóty, póki on jest naczelnym wodzem wojska bawarskiego. Zwierzchnicze sfery bawarskie powinny zatem dołożyć wszelkich starań, ażeby przeszkodzić utworzeniu centralnego niemieckiego trybunału wojennego. My, bawarczycy, zrzekliśmy się już tylu praw, że możemy się do pewnego stopnia zgodzić z następującem zdaniem jednego z pism bawarskich:

„Gdyby Bawarya zrzekła się najcenniejszego z praw sobie zastrzeżonych, t. j. prawa wykonywania sądownictwa wojskowego, natenczas znikłaby waga, jaką ludność nasza przywiązuje niezależne stanowisko Bawaryi w niemieckim organizmie państwowym. Hymny bowiem pochwalne na nasze źle gumowane znaczki pocztowe mogą wprawdzie pisać półgłówki, lecz nie politycy rozsądni.“

Pisma popularne bawarskie, nigdy zresztą nienadużywające prawa uprzejmości dla Prus, sięgnęły do słownika najordynarniejszych wyrażeń i obsypały niemi swych „przyjaciół politycznych,“ wzywając pisma berlińskie, aby je powtarzały berlińczykom. Znaczna część tych epitetów nie nadaje się do powtórzenia. Żeby jednak dać próbkę stylu bawarskiego i uprzejmości jego względem Prus, przytoczymy tu tylko jeden ustęp z *N. Münchener Tageblatt*: „Bezczelni ci Frycowie tak się obecnie panoszą, że istotnie mocno należy żałować, iż rok 1866 już tak dawno minął. Szkoda tylko, żeśmy do tych pyskaczy przyknęli i przez to skazani jesteśmy na wspólne ponoszenie chłost, które oni w przyszłej wojnie odbiorą!“ Tak mówią o jedności niemieckiej, niemcy na południu.

W północnym Szlezwigu, który ma być „nawskróś niemieckim,“ użyły Prusy systemu, jakim posługiwano się w starożytności tylko względem ujarzmionych narodów. W szkole, sądzie, administracyi i kościele panuje stan rzeczy, ciężko dający się we znaki: wszystko pod nimi się ugina, a prasa berlińska zupełnie otwarcie niedawno pisała, że ruch narodowy usypia coraz więcej, a dni żywiołu duńskiego pod panowaniem pruskiem są policzone. A jednak Szlezwig pozostał tem, czem był dawniej, tj. duńskim i jako taki aż nadto się manifestuje. Niedawno śpiewacy duńscy z Hadersleben przybyli w odwiedziny do miasteczka duńskiego Bogeuse (na wyspie Fionii). Miasteczko przystroiło się uroczyście, z każdego gmachu powiewały chorągwie duńskie. Podczas przyjęcia wygłoszono kilka słów duńskich, dziewczęta szkolne doręczyły gościom czerwono-białe bukiety, a nadto wprowadzono ich tryumfalnie do kościoła, gdzie pastor wygłosił kazanie. Wycieczka ta dała hasło do innych i cały Szlezwig północny ożył. Ruch tak żywy nie uszedł oka prasy niemieckiej, która go uważa za bunt, żądając praw wyjątkowych przeciw duńczykom.

ł. z.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Wir dyplomatyczny, jaki się wytworzył w Konstantynopolu po usunięciu Kiamila z wezyratu i po przyznaniu Rosyi swobody przepływu przez Dardanelle dla statków floty ochotniczej, nie ustał dotąd. Poseł angielski White z całą energią i przebiegłością zaczął pracować nad osłabieniem nowego prądu, a nawet głoszono w przeszłym tygodniu, że udało mu się podminować stanowisko w. wezyra. W Turcyi kalejdoskopowe zmiany położenia są rzeczą zwykłą, więc być może, iż wpływ angielski znowu odzyskał przewagę. Świadczy o tem wyraźnie wiadomość, rozesłana dziennikom przez Agencyę Konstantynopolitańską, iż lord Salisbury dał Porcie odpowiedź na jej wyjaśnienia w sprawie cieśniny i wyraził zupełne zadowolenie z tego, że „obowiązujące dawniej umowy nie zostały naruszone.“

Powszechną uwagę zwraca na siebie zjazd dwu ministrów spraw zagranicznych, ruskiego i włoskiego, w Monza, gdzie przebywają także królowie włoski i rumuński. P. Giers nie pojechał do Włoch w tym celu umyślnie, lecz przybył dla odpoczynku; z tej sposobności jednak Rudini skorzystał w interesie politycznym. Kilkakrotne narady odbyły się między kierownikami obu państw, a do czego doprowadziły — wiedzą tylko sami ich uczestnicy i monarchowie. Według zgodnego głosu prasy europejskiej, wynikiem tego spotkania było raczej porozumienie się i może uspokojenie ze strony włoskiej co do istoty i zamiarów troistego przymierza. Z samej natury stosunków minister ruski musiał przemawiać za zgodą Włoch z Francyą, ku czemu zresztą Rudini objawia dość wyraźną skłonność. *N. Wremia* twierdzi, że nadto wyjaśnił on powody, dla których Rosya jest niezadowolona z polityki włoskiej, chociaż interesy obu państw nigdzie nie ścierają się z sobą. Wreszcie są to wszystko domysły, któreby można snuć jeszcze dalej, gdyby one miały dla kogokolwiek jakiś pożytek.

W Serbii wybucha co czas pewien zatarg między rządem a władzą kościelną. Tym razem chodzi o kontrolę nad klasztorami, która dotąd należała do rządu, a obecnie chce ją przejąć synod biskupi.

W Rzymie zbierze się kongres pokoju, który zatruł krew niemcom. Niektórzy bowiem z nich mieli przyjąć w nim udział, gdy tymczasem prezes komitetu Bonghi dał do zrozumienia publicznie, ażeby na kongresie zajęto się kwestyą Alzacyi i Lotaryngii, która według niego stanowi główną ranę, jątrzącą stosunki europejskie. Naturalnie niemcy, nawet wolnomyślni, zaprotestowali przeciw temu, twierdząc, że dla nich żadna kwestya alzacko-lotaryngska nie istnieje, że przeto nie mogliby uczestniczyć w zebraniu, któreby ją podjęło. Prywatnie i publicznie usiłował ich Bonghi uspokoić obietnicą, że ten drażliwy przedmiot nie stanie na porządku dziennym obrad, oni wszakże lękają się wpaść w pułapkę.

Od czasu jak Milan opuścił tron serbski, przypomina się światu jedynie zapotrzebowywaniem pieniędzy. W roku zeszłym otrzymał milion fr. za zrzeczenie się prawa powrotu do kraju. Olbrzymia ta suma już widocznie wyczerpała się, skoro zaciągnął paromilionową pożyczkę w banku wołżsko-kamskim. Ponieważ b. król serbski trzyma się zdala od polityki, a przynajmniej nie ponosi na nią wydatków, więc te ogromne sumy rzuca w otchłań wygód i przyjemności życia.

Rzuca mi jeszcze jedno ciastko i, zgrzytając, krzyczy, ażebym co prędzej odchodził.

Oddalam się.

He, czy widział już kto taką niepoprawną kobietę! Chodzę po placu, zajadam ciastka, prawiąc wciąż o tym bezwstydzie; powtarzam naszą rozmowę i wmawiam w siebie, że wobec tej baby mam racyę. Jem otwarcie na ulicy — mówię głośno.

Ciastka znikają jedno po drugiem, jem — i nie czuję, że jem, jestem wygłodzony. Taka mnie opada chciwość jadła, że o mało nie pożeram ostatniego ciastka, które z samego początku przeznaczyłem był dla malca z Vogumandsgade, dla owego małego chłopczyka, który bawił się skrawkami papieru. Myślę ciągle o nim, zapomnieć nie mogę miny, z jaką się zerwał i zaczął kląć. W chwili, kiedy gospodarz splunął na niego, spojrzał w moje okno, aby się przekonać, czy i ja się z tego śmieję. Bylebym go tylko znalazł jeszcze! Staram się przyspieszyć kroku, ażeby jaknajprędzej stanąć na Vogumandsgade. Omijam miejsce, gdzie podarłem dramat mój na kawałki: leży tu jeszcze cała masa papieru; omijam policyanta, którego niedawno zachowaniem mojem przeraziłem i dochodzę wreszcie do schodów, na których chłopczyk ów siedział.

Niema go. Ulica jest prawie pusta. Zmierzch zapada; nigdzie chłopca nie widzę; pewnie wszedł już do pokoju. Ostrożnie biorę ciastko, składam je na wystającą listewkę u drzwi, silnie pukam i spiesznie odchodzę. Znajdzie je — mówię sobie — niech tylko wyjdzie, a znajdzie! I na samą myśl, że malec znajdzie ciastko, z radości oczy łzami mi zachodzą.

Znowu wracam na wybrzeże, przez które przechodzi kolej.

Nie czuję już głodu, lecz spożyte słodycze sprawiają mi mdłości.

W głowie mojej huczą myśli najdziksze. I cóż, gdybym tak ukradkiem przeciął linę u jednego z okrętów!.. I cóż, gdybym tak nagle krzyknął: „gore!“ Idę dalej wzdłuż wybrzeża, znajduję skrzynię, na której siadam, składam ręce, czuję, że myśl coraz bardziej mi się mąci... Ani drgnę — nie myślę o ratunku...

Spoglądam na ów okręt z flagą ruską, na „Copógoro.“ Przy oszańcowaniu spostrzegam jakiegoś człowieka; czerwone latarnie z lewego boku okrętu rzucają światło na jego głowę; podnoszę się i z oddali wszczynam z nim rozmowę. Czynię to bez celu, nie licząc nawet na odpowiedź.

— Odbijacie dziś, kapitanie?

— Tak jest, wkrótce — odpowie. Mówi po szwedzku.

— Hm!.. Czy nie potrzebuje pan czasem jeszcze jednego człowieka?

W tej chwili wszystko mi jedno, czy otrzymam odpowiedź odmowną, czy też nie; jest mi to zupełnie obojętne. Stoję, czekam i patrzę na niego.

— Nie! — odeprze. Chyba kawalera...

— Kawalera!

Drgnąłem. Ukradkiem zdejmuję okulary i chowam je do kieszeni, poczem wstępuję na mostek okrętowy i zbliżam się do brzegu.

— Nie jestem fachowy — poczną — ale każdej mogę podjąć się pracy. Dokąd jedziecie?

— Jedziemy z ładunkiem do Leeds, skąd zabierzemy węgiel do Kadyksu.

— Dobrze! — mówię, narzucając mu się poprostu. Jest mi zupełnie obojętne, dokąd jadę... Moją robotę odrobię.

Stoi przez chwilkę, przypatruje mi się, rozważa.

— Nigdy jeszcze nie byłeś pan na morzu? — pyta.

— Nie, ale jak już powiedziałem, wyznaczy mi pan robotę, a ja ją wykonam. Do wszystkiego jestem przyzwyczajony!

Znowu rozważa.

Wbiłem sobie w głowę, że pojadę. Boję się, abym znowu nie osiadł na piasku.

— Jakże więc, panie kapitanie? — pytam w końcu. Istotnie mogę się podjąć wszelakich usług. Co mówię, byłbym nędznikiem, gdybym nie czynił więcej, aniżeli mi każą. W potrzebie dwie nocę z rzędu stróżować mogę... Nic mi to nie szkodzi, doskonale potrafię znieść taki wysiłek.

— A więc sprobujmy! — rzeknie. Jeżeli nie pójdzie, rozstaniemy się w Anglii!

— Naturalnie! — odpowiadam radośnie. I jeszcze raz powtarzam, że możemy się przecież rozstać w Anglii, jeżeli nie pójdzie.

Poczem wyznacza mi robotę.

Na Fjordzie podnoszę się: z gorączki i wycieńczenia zimnym okryty potem, spoglądam w stronę mego kraju i żegnam miasto, żegnam Chrystyanię, gdzie we wszystkich domach okna obficiem jaśnieją światłem.

Przeł. *Malwina Posner.*

Przedstawiciele mocarstw europejskich zerwali wszelkie rokowania z rządem chińskim w przedmiocie rękojmi bezpieczeństwa swych poddanych, narażanych ustawicznie na wybuchy sfanatyzowanego tłumu. Jednocześnie wszakże doniesienie *Timesa* zapewnia, że obecnie panuje w Chinach zupełny spokój, z wyjątkiem Fu-Kien. Ten „wyjątek" wystarczy dla przechowania zarzewia, które zresztą przysypane popiołem tli się w innych miejscach.

SPRAWY EKONOMICZNE.

Z ZACHODU.

II.

Przyjrzyjmy się tej „pracy u podstaw," opromienionej niewątpliwie częstokroć humanizmem szczerym, ale podjętej pod hasłem „poprawy moralnej," mającej pogodzić wykolejonych z istniejącym stanem rzeczy, bez najmniejszych w nim zmian. Pod tym względem zasługują na największą uwagę, jako najbardziej typowo i najwymowniejsze, dwa zastępy działaczy — członkowie tak zwanego *Towarzystwa organizacyi dobroczynności* i szerzyciele oświaty oraz poprawy moralnej śród tłumów upośledzonych — ci ostatni czerpiący wzory w angielskim „Pałacu ludowym."

Tow. org. dobroczynności — dla skrócenia, nazwijmy je pierwszemi głoskami T. O. D. — powstało w New-Yorku drogą inicyatywy prywatnej przed ośmiu laty i dziś już posiada 60 rozgałęzień (filij) w tyluż miastach Związku, liczących ogółem 8,300,000 mieszkańców. W 28 miastach T. O. D. ma do 3,228 osób, będących nawiedzicielami (*friendly visitors*) rodzin biednych, których od 5—6 przypada dozorowi każdego z nich. Dwadzieścia z tych organizacyj mieszczańskich cieszyło się niedawno, że w ciągu 1887 wróciły społeczeństwu, tj., wepchnęły na drogę samodzielności — aż 3,342 rodzin i osób, czyli, wyrażając się ich własnym stylem: „zaoszczędziły i dorzuciły do bogactwa narodowego w ciągu roku 1,800,000 dolarów." I cały ten wysiłek, co najważniejsza, kosztował je bardzo niewiele. Przyjęto bowiem zasadę teoretyków neofilantropii, tego zaiste kwiatu ducha warstw posiadających, żeby z dzieła „dojrzałego" miłosierdzia wykreślić zupełnie jałmużnę i domy robocze — plugawy pomysł *workehouse'ów* angielskich. Pomijając pobudki „miłosierników" amerykańskich, które wyraźnie noszą piętno interesu klasowego, w tym nowym kierunku uznać trzeba rysy wyższego humanizmu i szlachetną chęć poszanowania jednostki, chociażby ona była najpodrzędniejszą. Rozumują oni bardzo rozsądnie, że jednostka podobna stała się taką nie z własnej winy; żeby więc rózga nędzy i upodlenia, która ją wciąż smaga, nie obrusyła na siebie kiedyś całej mocy długo tłumionej nienawiści, potrzeba ją umilić, a z samej jednostki, znieddołężniałej i stoczonej występkiem, drogą „poprawy moralnej" wytrzebić wady wszczepione i uczynić czcigodnego a zaradnego członka gromady. Przekonano się, że praktykowany w Europie system filantropii jałmużniczej nietylko z istoty swej jest obelżywy, ale w skutkach równa się pracy Danaid — co gorsza, niepozbawiony jest humoru, gdyż w gruncie rzeczy, zapewniając Łazarzowi okruchy stołu biesiadnego (utrzymując np. w Anglii ze środków państwa liczną a stałą zgraję nędzarzy), stanowi każdorazową w ciągu roku poprawkę w wadliwym podziale dochodu społecznego... Ale względ oszczędności przy nowym systemie jest ze szczególną radością podkreślany przez filantropów amerykańskich. Tak np. cieszą się oni, że zaniechanie dawnego zwyczaju wsparć, udzielanych w postaci pieniędzy, zapasów żywności itp. — odrazu dał „znakomite" rezultaty. W pewnym okręgu miasta Indianopolis nie udzielano tego rodzaju zapomóg (*Outoroz relief*) i skutkiem tego roczne wydatki wydziału „Towarzysta Opieki" (*Departament of Charities and Corrections*). Z uprzedniej sumy 90,000 dolarów spadły — do 8! W Brooklinie rocznie tracono na ten sam cel 141,000 dolarów, ale w 1878 postanowiono nie dawać wsparć — i, o dziwo! nie wyśledzono najmniejszego źródła ubocznego, któreby zastępowało cofnięty przez filantropów fundusz, a jednak w temże mieście nie zwiększyła się zgoła liczba próśb o przyjęcie biedaków do miejscowego przytulku (*almshouse*) lub szpitala, nie urosły podania zanoszone do „Towarzystwa Pomocy" (*General Relief Society*) — nawet w raportach policyjnych nie dostrzeżono przyrostu tych, którzy regestrowani są zwykle w liście nędzarzy wyjątkowych! To samo było w Filadelfii: w 1878 miasto przeznaczało na wsparcie ubóstwa 66,000 dolarów, w 1879 środki te cofnięto, datki wstrzymano, a mimo to nie stwierdzono ze strony pokrzywdzonych najmniejszego natarcia na inne źródła dobroczynności miejskiej.

Z bardzo nielicznymi wyjątkami, tą samą zasadą przeniknięte są wszystkie filie T. O. D. Każda z nich może wypróbowywać nowe sposoby działalności, otwierać nowe dla niej pola, ale wyniki swoich usiłowań winna ogłaszać w specyalnych sprawozdaniach T. O. D. wychodzących co każde dwa i trzy lata w różnych miastach Unii. W sprawozdaniach tych, czyli „konferencyach," roztrząsane są wszelkie ulepszenia w „organizacyi dobroczynności," dokonane w poszczególnych towarzystwach, przedsiębrane są najmożliwsze środki, rugujące z tych ostatnich wszelką rutynę i formalizm, tak fatalne, zdaniem Yanko'a, dla najpożyteczniejszych usiłowań. Prawą ręką T. O. D. są *friendly visitors* (nawiedziciele biednych), werbowani z warstw posiadających. Zadaniem ich jest wstępować w czeluście nędzy a upodlenia i dźwigać ją ku górze słowem i czynem... dostarczać „bezzajętnym" pracę, godnych wsparcia skierowywać do dobrodziejów, szczególnie zaś szczepić w ciemnych tłumach — idee zdrowotności i hygieny. (Zobaczymy niżej, jak propaganda tych pojęć w dalszym ciągu jest rozwijaną przez „umoralniaczy ludowych" — różnych *gentlemanów* i *miss*, studentów i studentek). Zwłaszcza miejscowości z najbardziej skupioną ludnością ściągają pilną uwagę tych *visitors*. Schodzą tam, budzą w zrozpaczonych chrobrość, ufność we własne ich siły i usiłują szerzyć zamiłowanie samopomocy. A czynią to z nieubłaganą zgodnością z zasadą kierowniczą T. O. D. — częstokroć z surowością purytanów. Kilka przykładów to uwydatni. Towarzysząc pewnemu młodemu lekarzowi w nawiedzaniu biednych, pani Mac-Gahan mocno była zdziwiona okolicznością, że ów *visitor*, poleciwszy niektórych z nich względom filantropii, jako godnych pomocy, w kilku innych miejscach, pomimo bardzo widocznej nędzy — nie uznał jej godną wsparcia. Spytany, czemu tak postępuje, odpowiedział, że musi wprzód sprawdzić T. O. D. charakter ubóstwa tych ludzi i zbadać, czy nie spekulują na miłosierdziu: czy wyjednanych rzeczy nie przepijają. Na zarzut zaś, że zanim sprawdzone zostanie jego położenie w kontroli T. O. D., chory może umrzeć, brzmiała surowa odpowiedź, że daleko groźniejszem byłoby dla niego wystawienie go na pokusę oszustwa. Oddawanie chorych biedaków do szpitali uważa T. O. D. za ostateczną ucieczkę. Nawet w wypadkach nędzy wyjątkowej szpital zostaje ostatnią deską zbawienia. Zwykle postępowaniem nawiedzicieli kieruje zasada samopomocy. Usilują raczej odszukać coprędzej kogokolwiek z krewnych lub dawnych przyjaciół biedaka, i skłonić ich, pomódz im przez osobiste współczucie. Osiąga się przez to ten skutek, że świadomość posiadania ludzi życzliwych wlewa otuchę w serce wykolejonego i zahukanego życiem człowieka, pozwala mu otrząsnąć się z „niedołęstwa" i usprawiedliwić pokładane w nim zaufanie, skwitować pomoc udzieloną — przy pierwszej zdarzonej sposobności; gdy tymczasem wsparcie, zapewniane mu przez instytucyę dobroczynną, rodzi w „niedołędze" społecznym zelżywą samowiedzę, że jest na wieki odcięty od reszty człowieczeństwa i gasi w nim ostatnią iskierkę godności osobistej i samodzielności — co gorsza, tem samem czyni z niego stały ciężar, obarczający dochód klas posiadających. Wstręt T. O. D. i jego agentów (*visitors*) do szpitali szczęśliwie się zbiega z odrazą do nich ludności ubogiej—i jest przez neo-filantopów umiejętnie wyzyskiwany. Nowy przykład, cytowany przez p. Mac-Gahan wyśmienicie to potwierdza. Kiedy jeden z nawiedzicieli staruszkowi 75-letniemu, który pielęgnował swoję 65-letnią ciężko chorą małżonkę — za to, że ją trzymał w brudnem mieszkaniu, groził oddaniem jej do szpitala, biedny starowina, wyczerpany długiem samotnem dozorowaniem chorej, mrugał swojemi wyblakłemi z wieku oczami, nadrabiał miną, a potem zaszlochał płaczem właściwym ludzim starym — cicho. Twarz jego znieruchomiała w wyrazie rozpaczliwej bezzaradności, łzy toczyły się jedna za drugą i rozpływały w zmarszczkach, które zorały jego oblicze. Po chwili uśmiechnął się pojednawczo, pokornie i zaczął rozpadać się wobec lekarza w naiwnych obietnicach, że nie obrazi już więcej surowej „Pani Zdrowotności," byleby tylko ukochaną przez niego chorą pozostawiono w żebraczej izbie. Trzeba było widzieć, jaka dziecinna radość rozpromieniła jego twarz nieszczęśliwą, kiedy surowy „miłosiernik" mieszczański uśmiechnął się i obiecał nieruszać chorej, jeżeli mieszkanie będzie uprzątnięte Jakakolwiek byłaby nędza pacyentów, lekarze związani zasadami T. O. D. nie leczą ich darmo, chociaż i nie żądają też natychmiast zapłaty. Żona pewnego robotnika, pozbawionego od pół roku zarobku, zastawiwszy wszystkie graty domowe, żeby opędzić pierwsze potrzeby życia i mając dziecko chore na płonicę, dopędza doktora, który je leczył i mówi mu coś. „Zgadnij pani — pyta on tryumfująco p. Mac-G. — czego ta matka umierającego dziecka chciała ode mnie? Chciała mi zapłacić za wizytę. Teraz nie wziąłem pieniędzy, ale później wezmę!" — „Skądże ona ich dostanie?" — zagadnęła wielbicielka neo-filantropii.—„To już jej rzecz—brzmiała odpowiedź. Gdybym nie wziął od niej pieniędzy, przysłałaby do mnie ze dwadzieścia swoich przyjaciołek, zrujnowałaby moją piękną praktykę, a sama przemarnowałaby pieniądze „oszczędzone na lekarza" — na fatałaszki." Nawet tresownicy nieboszczyka Barnuma uznać by musieli nad sobą wyższość agentów T. O. D... Obowiązki nawiedzicieli są różnorakie: winni oni nadto baczyć, żeby dzieci biedaków były uczone, rozporządzać dokładną znajomością praw i ustaw krajowych, żeby mogli w razie potrzeby udzielać ciemnym odpowiednich rad i wskazówek, a częstokroć zasłonić ich od szkodliwych zamiarów „Towarzystwa opieki nad dziećmi," które w swoich dążnościach dochodzi aż do „fanatyzmu" i w imieniu „dobra dzieci," przy sposobności, odbiera je od rodziców okrutnych. T. O. D. zaś w swojej ewangelii społecznej wciela także zasadę nietykalności rodziny i brzydzi się jej nadwyrężaniem. Tu właśnie otwiera się piękne pole działalności jego „prawoznawców."

(D. n.).

BADANIA NAUKOWE.

KAPITALIZM A DZIENNIKARSTWO.

I.

W liczbie przedmiotów spożywczych, powołanych do życia przez nowoczesną epokę wytwórczą, znajdujemy prasę peryodyczną. Dla robotnika paryskiego głód rozpoczyna się z tą chwilą, kiedy trzeba odmówić sobie codziennego kupna ulubionej gazety. W formie pisma peryodycznego połykamy wywody społeczne i krytyczne, rozkoszujemy się tworami talentu powieściopisarskiego, kształcimy swój smak estetyczny. Jeżeli kogoś zajmuje to, w jaki sposób sztuka ogrodnicza stwarza coraz smaczniejsze kalafiory, tkactwo zaś produkuje nowe desenie perkalików, dlaczego nie mielibyśmy zbadać, jak różne kuchciki gazeciarskie przygotowują strawę codzienną dla umysłu cywilizowanego, jak przyprawiają dania i zatruwają smak estetyczny oraz poczucie moralne czytelników? Jest to rzeczą tem nieodzowniejszą, że wszelka produkcya artystyczna, o ile posługuje się słowem, wtłoczona została w formę dziennikarską. Powieść np. tak zrosła się z wydawnictwami peryodycznemi, a także krytyka literacka i estetyczna, że niepodobna zrozumieć ich stanu obecnego, nie pojąwszy mechanizmu dziennikarstwa. Nadto czemu nie uchylić zasłony tajemniczej, pokrywającej warsztat towaru gazeciarskiego? Bramini hinduscy wmówili w swoje społeczeństwo, że są wybrancem robactwem próżniaczem na tułowiu pracującego ludu, europejscy przedstawiciele prasy z całą buńczucznością przywłaszczają sobie rolę mózgu społecznego. Warto przyjrzeć się istotnemu stanowi rzeczy. Lecz naprzód winniśmy skreślić rodowód producentów tego towaru. Naturalnie nie będzie nam chodziło o to, kiedy produkcya ta powstała, rzecz sama bowiem, tak pociągająca dla molów bibliograficznych, posiada względnie małe znaczenie, ale o co innego, mianowicie, kto ongi spełniał te czynności, które przypadły dziennikarstwu w dzisiejszym rozgałęzionym podziale pracy.

Zwróćmy się do pierwszego lepszego z naszych miasteczek prowincyonalnych. Przebywszy tutaj nieco dłużej, ujrzymy, że w życiu takiego partykularza niemałą odgrywają rolę szczególne postacie, których ze świecą należałoby poszukiwać w wielkich ogniskach ruchu wymiennego. W jakimś Pacanowie znajdziemy kilka kumoszek, skrupulatnie dzielących czas swój pomiędzy umizganiem się do młodych wikaryuszów a obgadywaniem najukochańszych serca bliźnich. Biegają one w pocie czoła, roznosząc nowiny. Kumoszka miasteczkowa zrosła się ze swojem rzemiosłem dość luźnie, jak zwykle bywa w pustkowiu wymiennem, gdzie każda niemal kapłanka nudów rodzinnych zajmuje się jeszcze sama w swoim domu przyrządzaniem konfitur i smażeniem pączków z braku odpowiednio rozwiniętego podziału pracy. Podobnie i plotkarstwo nie wyodrębniło się tutaj w samoistną dziedzinę zawodową. Rzym patrycyuszów posunął się już dalej po tej drodze. Z pośród wolnego, lecz nieposiadającego „motłochu“ wydzieliły się tam zgraje pieczeniarzów, którzy woleli w ten sposób zarobkować, niż wraz z Grachusami walczyć o ideały samodzielnej pracy fizycznej na własnym zagonie. Sprytniejsi stali się roznosicielami nowinek, przyprawiając je odpowiednio do smaku spożywcy. Z rozpanoszeniem się maszyny w świecie wytwórczym postać rzeczy ulega radykalnej zmianie. I do plotkarstwa wkracza siła pary, a z nią przewrót społeczny. Kumoszka miasteczkowa i pieczeniarz patrycyuszowski byli rzemieślnikami swojego fachu, bo narzędzie swoje, język, nosili z sobą. Dzisiaj jako roznosiciele nowin utracili rynek zbytu w wielkich ogniskach orgii kapitalistycznej. Reporter, postać, którą dzisiejsza epoka techniczna powołała do życia celem spełniania tych samych czynności, jest już nawskróś pachołkiem najmickim. Jako wyżeł, z wywieszonym językiem biega on za skandalami i nowinami, lecz zdobyta plotka przestała być jego własnością. Ktoś inny, a mianowicie kapitalista przedsiębiorca, zabierze od niego produkt węszenia, poruczy maszynie drukarskiej i odciśnie w tysiącznych egzemplarzach. Dzięki zastosowaniu maszyny i wynikającemu stąd stanieniu plotki, rynek jej rozszerzył się niesłychanie. Niegdyś, żeby doleciała do kogoś natychmiast lub została z daleka zaczerpnięta, kundman winien był zgarniać nadprodukt u licznej rzeszy pracowników; obecnie jest ona dostępna szerokim a ubogim warstwom ludności. Słowem, reporter jest plotkarzem według wzorów wielko-przemysłowych *). Przenieśmy go do Rzymu cezarów. Wierzę najmocniej, że podpatrywałby tajemnice patrycyuszek dla wywołania następnie uśmiechu lubieżnego na twarzy jakiegoś pochłaniacza pracy niewolniczej; inny czatowałby, żeby donieść, jak pewien *pater patriae* nosi rogi, przyprawione przez swoją legalną nałożnicę przy pomocy płaszczącego się wyzwoleńca. Zajęcia te wprawdzie były niezbyt powabne, lecz są one równoznaczne z rubryką bieżących wiadomości w naszych dziennikach. Różnica pomiędzy reporterem a plotkarzem-pieczeniarzem polega nie na dokonywanej czynności, lecz tkwi jedynie w sposobie technicznym wywiązywania się z niej. Rozumie się, czynności spełniane przez reportera nie mogą nie pozostać bez głębszych wpływów na jego duszę. Robotnik fizyczny, który wynosi mierzwę na pole i rozrzuca ją tutaj, jest osobą zbrukaną jedynie powierzchownie. Błoto nie wala i nie plugawi duszy jego. Lecz reporter węszy i podaje coś innego, mianowicie błoto moralne, plotki; przestaje on być bezinteresownym amatorem, dogadzającym wrodzonej świerzbiączce języka, lecz zarobkuje na żołdzie kapitalisty-przedsiębiorcy, który doprowadza go do podobnego zniksczemnienia, w jakiem pogrzęźli producenci plotki w Rzymie patrycyuszów. Na pierwszy rzut oka zdawałoby się, iż dzisiejszy reporter jest członkiem wielkiej narodowości najmickiej, w gruncie zaś rzeczy należy on do *Lumpenproletariatu*. Trudno nieraz rozstrzygnąć, gdzie kończy się producent plotki dziennikarskiej, a poczynają takie śliczności, jak alfonsik, wydrwigrosz lub *mouchard*; pracownią jego jest często najpodlejsza knajpa lub legowisko prostytutki, mniejsza że niemeldowanej i słynącej jako gwiazda teatrzyku. Na globie ziemskim istniały niegdyś dziwne twory zwierzęce, łączące w sobie znamiona kilku klas: pół-płazy, pół-ptaki. Otóż reporter w rozwiniętych ogniskach kapitalizmu jest takim potworem, łączącym w sobie cechy wszystkich odpadków społecznych. Jest on kwintesencyą wszelkich odłamów *Lumpenproletariatu*. Możemy przeto pojąć, jak niewłaściwie mieszają niektórzy cyganeryę literacką dawnych czasów z nowoczesnym światem reporterskim. Wprawdzie tu i owdzie „cygan,“ w miarę rozwielmożnienia się pląsów Mamony wśród dziatwy Apollina, przekształca się na reportera, lecz jest to zdarzeniem wyjątkowem, porywającem najlichszych moralnie przedstawicieli dawnej cyganeryi. W istocie zaś rzeczy są to postacie zgoła odmiennej natury i wartości. Ażeby lepiej poznać tę różnicę, zwróćmy się znowu do partykularza małomiasteczkowego. Carlyle gdzieś zajmuje się pytaniem, jaką jest filozofia świń, jedzących przy korycie w skupieniu ducha. Jakąkolwiek byłaby, na pewno jest ona podobna do filozofii życia codziennego filistrów miasteczkowych. Lecz jednocześnie w tem bagnisku codzienności filisterskiej znajdziemy zawsze kilku niezadowolonych śmiałków, ludzi już mniej, już więcej, lecz w każdym razie jakoś uzdolnionych pod względem umysłu, uczucia lub temperamentu, a marnujących się w swojem otoczeniu śmiaczem. Jedni protestują do ostatniego tchnienia — podziurawionym kapeluszem, niegoloną brodą, pogardliwą miną względem pieska pani rejentowej i podbródka księdza proboszcza; inni, śłamazarniejsi, dali za wygraną i w trunku topią to coś lepszego, które w nich nurtuje i nie pozwala z zadowoleniem jeść z koryta. Filister, któremu przebłyskami swojego dowcipu i talentu lub wybuchami uczucia społecznego i temperamentu przeszkadzają w spokojnem jedzeniu, chrzci ich mianem narwańców i żąda, żeby zamknięto ich do czubków. Czyni on na skalę drobnomiasteczkową to samo, co na wielką podjął Lombroso, który poniżył psychiatryę, każąc jej być narzędziem nienawiści filisterskiej, a katem wszelkiej myśli protestującej przeciwko przykazaniom świata mieszczańskiego. A teraz przenieśmy te niezadowolone dyabłęta na widownię życia artystycznego i literackiego, lecz jednocześnie pomieśćmy ich w powietrzu zatęchłem, w otoczeniu, gdzie niepodobna z braku miejsca wyprostować nawet rąk, a dostaniemy ludzi, bawiących się w cyganeryę, gdyż nie ma do roboty nic poważniejszego. Brak wykształcenia z pewną dawką talentu, chęć wybicia się z pod rutyny a nieistnienie szerokich po temu gościńców, spora doza godności osobistej a nieobecność środków do życia i źródeł zarobkowania — przynajmniej takich, gdzie niepotrzeba byłoby czapkować — takiemi są sprężyny psychiczne cyganeryi. Gdzież tu plotkarzowi, wtykającemu wszędzie nos, mierzyć się z tem spętanem potomstwem orlem!

Otóż reporter, którego psychologii i rodowodowi tyle poświęciliśmy miejsca, jest głównym kuchcikiem w przyprawianiu naszego pokarmu dziennikarskiego. Bez niego martwa rzecz, tucząca się żywą pracą ludzką, a zwana kapitałem, musiałaby wyrzec się wszelkich większych zysków z przedsiębiorstw „literackich.“ Naturalnie, nie chcielibyśmy twierdzić, ażeby reporter wyczerpywał wszystkie typy świata dziennikarskiego. Możemy sobie nawet wyobrazić dziennikarstwo dalekiej przyszłości, zupełnie obywające się bez jego usług, kiedy materyał faktyczny, służący za kanwę jego węszenia, stanie się albo rubryką gazety policyjnej lub też będzie uszanowany jako tajemnica życia prywatnego. Z drugiej strony, w społeczeństwie nawet najbardziej zgniłem istnieje pewna liczba jednostek, u których zmysł społeczny panuje nad wszystkimi innymi popędami. Epoka dzisiejsza, jakkolwiek ją krytykowalibyśmy, posiada w obfitości żywioły zdrowe, patrzące ufnie w przyszłość i nie zginające karku przed przykazaniami Mamony, chociaż zmuszone obracać się w jej korowodzie. Nawet pesymizm tegoczesny nie jest zwątpieniem mistyków manicheizmu, lecz poprostu pewnego rodzaju splenem, wyrastającym z nadmiernego spożycia, a owianym filozofowaniem na temat kosmosu. Pesymista nowożytny przyznaje, że istnienie nic nie warto, lecz sam pragnąłby jak najdłużej wykrzywiać pogardliwie usta na tym padole przewagi złego nad dobrem. Te żywioły zdrowo wtarg-

*) Rzeczywistość nie przeczy naszym wywodom. Ojczyzną maszynowej produkcyi jest Anglia. Warto przyjrzeć się narodzinom pierwszego tutaj dziennika. „Jedyną formą, w jakiej nowiny o wypadkach dworskich i o zdarzeniach powszechnego interesu dostawały się w zaraniu naszych czasów do wiadomości wyższych warstw towarzyskich, były listy prywatne ze stolicy. Listy te przesłoły niebawem nosić cechę osobistą i stały się okólnikami przechodzącymi z rąk do rąk. Nathaniel Butler, pamflecista, wpadł był na myśl drukowania tych okólników. Tak powstały *Weekly news*.“ (*Ateneum*, 1891, lipiec, str. 157).

nęły do dziennikarstwa, ażeby użyć go jako taran do torowania lepszej przyszłości, mniejsza jak kto ją pojmuje. Swoją drogą, w praktyce reporter jest królem wśród najmitów dziennikarskich. Żołd jego jest najwyższym; „literat“ który notuje stan Wisły, przybywanie galarów z jabłkami itd. zarabia więcej niż każdy szanujący siebie publicysta warszawski. Nadto, jakąkolwiek przyszłość zgotuje reporterom dalszy rozwój społeczny, dzisiaj w epoce kiedy kankan kapitalistyczny porywa zarówno człowieka z nosem prostym, mocno dumnego tą swoją wyższością, i człowieka z nosem garbatym, któremu tamten wciąż urąga z tego powodu, wszelki uczestnik produkcyi dziennikarskiej zmierza nieuchronnie ku reportce. Reporter jest ostatecznym wyrazem, do którego kapitalizm kiedyś sprowadzi wszelkiego literata. Przyjrzyjmy się tej dążności.

K. R. Żywicki.

RZUT OKA NA KRAJE BAŁKAŃSKIE

I ZNACZENIE CIEŚNIN.

III.

Wielostronność stosunków, rozpadnięcie półwyspu na liczne niewielkie naturalne krainy ze swemi własnemi centrami, utrudnione komunikacye we wnętrzu, pomimo wielkich naturalnych dróg, czyniących półwysep jednym z najważniejszych krajów przejściowych, obecność licznych krain górskich niedostępnych niby naturalne warownie — te charakterystyczne cechy półwyspu są przyczyną, że mimo znacznego obszaru, obfitych środków tak w żyzności gruntu jak i w skarbach mineralnych, zdrowego klimatu i innych korzystnych warunków, półwysep ten (pominąwszy Grecyę) nigdy nie stał się samodzielnie siedzibą i punktem wyjścia wielkiej politycznej potęgi oraz kultury, a zarazem, że tutaj od stu lat leży najważniejsze ognisko polityki europejskiej. Tylko południowa część półwyspu, Grecya stanowi tu, jak już wspomnieliśmy, wyjątek. W prawdzie i tutaj spotykamy te same, utrudniające komunikacye, cechy plastyki gruntu, ale wszystko to w drobniejszych rozmiarach, a przytem głęboko w ląd wkraczające zatoki morskie znoszą ten antykomunikacyjny wpływ. Wskutek tego Grecya, jakkolwiek stanowi część półwyspu Bałakańskiego, jednak tworzy pewną samą w sobie geograficzną indywidualność, która przez wszystkie czasy pozostała w ściślejszym związku z południowemi Włochami i z Azyą Mniejszą niż z resztą półwyspu Bałkańskiego. Grecya ma szczególnie ważne znaczenie pod względem geograficzno-historycznym, północna zaś część półwyspu — pod politycznym; w tym ostatnim zaś względzie dominującą rolę gra okolica cieśnin z Konstantynopolem.

Bosfor ma charakter potężnej bystro płynącej rzeki, jest to jakby na wielką skalę Ren między Bingen i Koblencyą: taż sama równoległość brzegów, też same liczne zakręty, też same strome wybrzeża, które w górze przechodzą w faliste wyżyny, tylko przez doliny rzek głęboko poorane. Jakby potężna rzeka, mówi Moltke, wije się ta cieśnina pośród nieprzerwanego szeregu pałaców, meczetów, kościołów i zamków, łącząc dwa morza i dzieląc dwie części świata; tworzy ona właściwie główną ulicę Konstantynopola, jeżeli tą nazwą obejmiemy cały zbiór miast, przedmieść i wsi, w których mieszka razem około 800,000 ludzi.“ Zresztą styl budownictwa, liczne meczety i południowa roślinność tworzą z drugiej strony znaczną różnicę z pięknemi wybrzeżami Renu. W największem zwężeniu cieśniny trzeba szukać punktu, gdzie wszystkie armie od czasu mostu Daryusza szukały przeprawy; tutaj turcy zbudowali potężne warownie, które zamykają cieśninę. Wybrzeża są wszędzie wysokie i strome i to tembardziej, im bliżej morza Czarnego: tam skały bazaltowe spadają jak ściana prawie bezpośrednio do wody tak, iż mało osady leżące u wyjść dolin pobocznych tylko za pośrednictwem wąskiej ścieżki skalistej mogą się ze sobą komunikować na lądzie i dlatego główna komunikacya odbywa się wodą; bliżej morza Marmara, to jest nad „dolnym“ Bosforem pozostaje na wybrzeżach dość miejsca na nieprzerwany szereg osad. Polega to na różnicy skał tworzących brzegi. Północna część Bosforu leży pośród skał wulkanicznych (bazaltów, dolerytów, trachitów), odznaczających się ciemnemi barwami i dzikością kształtów. Te masy wybuchowe leżą na przechodzącej z Europy do Azyi płycie z łupków krystalicznych, piaskowców, szarej waki i wapieni formacyi Dewońskiej; w południowej części, gdzie skały wybuchowo znikają i płyta wychodzi na wierzch, brzegi przyjmują łagodniejszy charakter. Na granicy między skałami warstwowemi i wybuchowemi występują jak zwykle tak i tutaj żyły rudonośne: w pobliżu Bujukdere oddawna wydobywają miedź i żelazo. Na silnie popękanej i zdyzlokowanej płycie dewońskiej (Bosfor powstał wskutek zapadnięć diluwialnych) leży ku południowi po europejskiej stronie formacya trzeciorzędowa (miocen), z której składa się pagórkowaty półwysep Stambułu. Tutaj na granicy dewonu i miocenu wrzyna się w ląd najgłębsza zatoka Bosforu, złoty Róg stanowiąca znakomity port; morfologicznie Złoty Róg przypomina limany, jakkolwiek różni się od nich znaczną głębokością oraz wysokością brzegów. Złoty Róg wraz z południową częścią Bosforu i morzem Marmara tworzą półwysep, który przedstawia wszelkie korzystne warunki dla powstania i rozwoju wielkiego miasta. Jeżeli, jak to wyraziliśmy na wstępie, półwysep Bałkański ma niesłychanie ważne znaczenie dla obecnej polityki europejskiej, to klucz Bosforu, Konstantynopol, jest niezaprzeczenie tego znaczenia ogniskiem; dlatego w tym, choć ogólnym tylko rzucie oka na półwysep Bałkański, musimy przypatrzyć się nieco bliżej nadbosforskiej stolicy, wyszczególnić geograficzne elementy jej tak wielkiego znaczenia.

Żadne miasto nie może się porównać z Konstantynopolem pod względem niezwykłego zjednoczenia wdzięków przyrody z naturalną wielostronnością stosunków, a mimo to obronnością położenia. Położony na granicy dwóch części świata i dwóch mórz Konstantynopol jest przez samą naturę przeznaczony na siedlisko światowego handlu, na ognisko potęgi politycznej, stolicę wielkiego państwa tego obszaru nad jakim zapanowali turcy w 17 stuleciu. Posiadanie Konstantynopola jest równoważne posiadaniu niejednego królestwa; jego najdalsza linia obronna możebna do opanowania tylko przy skombinowanym ataku jednocześnie z lądu i z morza leży na zewnętrznych wejściach do Bosforu i Dardanellów, na szyjach półwyspów Trackiego i Bityńskiego, a więc w dwóch częściach świata, od których oba naraz atak wykonywanym być musi. Dopóki linie te nie zostaną opanowane, oblężone miasto ma do rozporządzenia bogate krainy nadbrzeżne morza Marmara, jeżeli utraci wybrzeża europejskie, pozostaną azyatyckie, jeżeli wróg następuje z północy, opanuje morze Czarne, pozostanie Egejskie i naodwrót. To też obie cieśniny są obsadzone niezliczonemi warowniami, pochodzącemi z najrozmaitszych czasów, a już słabnące państwo bizantyjskie dla obrony od barbarzyńców zbudowało mur wpoprzek półwyspu Trackiego. Do tego punktu zbiegają ważne drogi handlowe tak lądowe jak wodne; dwie części świata wchodzą tu ze sobą w stosunki, a i trzecia ku południowi nie leży zbyt daleko, przytem droga doń prowadzi przez dogodne, usłane wyspami morze. Przekątna droga półwyspu Bałkańskiego przechodzi tędy dalej do Azyi Mniejszej, a przez przejście Cylicyjskie do Syryi, Arabii i Mezopotamii; w przyszłości będzie to najkrótsza droga do Indyi. Poprzeczna droga półwyspu Bałkańskiego, starożytna via Egnatia, przechodzi również do Azyi Mniejszej przez Angorę do Armenii i Persyi. Wszystkie krainy nadbrzeżne morza Czarnego mają komunikacye na zewnątrz z morzem Śródziemnem jedynie przez Bosfor; tu zbiegają się linije z Batumu i Trapezuntu, z portów Azowskich, Krymu, Odessy i ujścia Dunaju; linie te przez Suez idą dalej do Indyi i Chin. Ważną tu jest okoliczność, że Konstantynopol tworzy centralny punkt obu półwyspów Bałkańskiego i Anatolskiego; dla samego Bałkańskiego leży zbyt ekscentrycznie, posiadanie więc Konstantynopola bez przynajmniej północno-zachodniej części Azyi Mniejszej jest niemożebna, a to ma wielkie znaczenie dla przyszłego ukształtowania się porządku rzeczy na wschodzie. Bułgarski lub nawet rosyjski Konstantynopol naprzeciwko tureckiego Skutari jest na dłuższy czas niemożebny; prędzej już mógłby istnieć Konstantynopol grecki jako wysunięta część państwa morskiego.

Na południu Konstantynopola i Bosforu wybrzeża morza Marmara są jednostajne pozbawienie portów, wyjąwszy Rodosto i Gallipoli, który swe znaczenie zawdzięcza położeniu na wstępie do cieśniny Dardanelskiej; cieśnina ta to jakby Bosfor na większą skalę tak samo i w tymże czasie powstały: tektoniczne ruchy gruntu tak tu jak tam były główną przyczyną powstania, fal morskich a erozya wystąpiła tylko modyfikująco.

Długość cieśniny wynosi przeszło 60 km. szerokość w największem zwężeniu niedochodzi 1¼ km. Brzeg europejski jest wysoki i stromy, ale w mniejszym stopniu niż brzeg Bosforu; brzeg azyatycki, łagodniejszy z falistemi wzgórzami i dolinami z bogatą roślinnością, jest krajobrazowo piękniejszy. Brzegi Dardanellów obfitują w przystanie mniej lub więcej bezpieczne stosownie do kierunku wiatru; jest to tem ważniejsze, że przejazd przez cieśninę przy przeciwnym wietrze jest dla żaglowców bardzo trudny, tak, iż jak tutaj tak i na Bosforze w chwili zmiany kierunku wiatru na pomyślny, można obserwować setki żaglowców, wypływających odrazu na podobieństwo stada olbrzymich mew.

Bosfor i Dardanelle bronią razem dostępu do Konstantynopola od strony morza; sztuka przyszła tu w pomoc naturze: bateryc wznoszą się tu szeregiem tak gęstym, że żaden okręt wojenny nie byłby w stanie dopłynąć do Konstantynopola. Najsilniejszy fort na Bosforze, Madżjar Tabia naprzeciw Bujukdere jest dla tego tak niebezpieczny dla wojennych flot nieprzyjacielskich, że mielizna po stronie europejskiej zmusza wszystkie wielkie okręty do przepływania pod ogniem 70 dział tego fortu w odległości tylko 200 kroków; okręt, który odważyłby się na to, zostałby w jednej chwili zmieniony na rzeszoto! Niemniej straszne są fortyfikacye dardanelskie; umieli się o to postarać jak należy ich twórcy, inżynierowie pruscy.

W. N.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Esteja. *Mój testament.* Nowele.

Wejście p. Esteji do literatury odbyło się przy odgłosie tych samych fanfar, na których otrąbiono wjazd tryumfalny panny Rodziewicz. Obie zawdzięczają rozgłos konkursowi, który powieść jednej nagrodził, drugiej wyróżnił. Aliści, z biegiem czasu

szala sławy tych autorek tak daleco przeciągnęła szalę ich zasług, że dziś tu i owdzie w kościołku literackim rozlegają się smętne westchnienia i użalania się na temat niewdzięczności. Nie wiadomo jednak, kogo pomawiać o winę. Nie sędziów, ponieważ ci zrobili swoje — gdy rozlała się przed nimi powódź miernot, plagiatów, nonsensów i potworności literackich, rozjątrzeni, znużeni nagrodzili istotne, choć blade przebłyski oryginalności i talentu. Za skutki nie odpowiadają i te wypływają z zupełnie odrębnych przyczyn. U nas, a może i nie tylko u nas, odznaka konkursowa, będąca dosyć rozgłośną, może zastąpić patent dojrzałości. Kto ją otrzyma, choćby to był umysł, któremu należy jeszcze długo kształcić się, rozwijać — zachęcany bywa wprost do obfitej produkcyi, nie zaś do pracy nad sobą. Redakcye, starające się o popularność, zrzekają się wobec tych „laureatów" i „wyróżnionych" — swych krytyczno-pedagogicznych obowiązków i podniecają wydajność dyletanta. I ten biedny, obałamucony embryon talentu, czyniąc ogromne wysiłki tworzy naprzód rzeczy bardzo podobne do nagrodzonej czy wyróżnionej, potem — nieco gorsze, następnie mierne, wreszcie takie, iż pobłażliwi wzruszają ramionami. On jest pisklęciem, które wykluło się sztucznie. Wprawdzie nad takiem z większem zdumieniem kiwamy głową, niż nad tem, które wysiedziała kwoka, lecz z czasem miarkujemy znacznie nasz podziw, bo ostatecznie żaden inkubator z jaja pospolitej kury nie ulęże orła lub sokoła.

Jako dowód mamy świeży zbiorek powiastek p. Esteji, które nie świadczą o jej pokrewieństwie ze szlachetnymi ptakami literatury. Znać tu skrzydła średniej mocy i już zmęczone. Obok widocznego utrudzenia wyobraźni występuje objaw bardzo smutny dla pisarza: pustka w zbiorniku obserwacyj z życia. Nie był on zbyt przepełniony, gdy p. Esteja pisała pierwsze swe duże powieści, ale przed napisaniem następnych koniecznie trzeba było odświeżyć zapasy. Zdaje się, iż to nie nastąpiło i myśl pracowała dalej tylko z rozpędu, w sztucznym zapale nie spostrzegając, iż ze spichrza ziarno już wyniesiono, a ona młóci słomę.

W powiastce *Mój testament* temat nie jest pozbawiony znaczenia. Jest nim miłość dziewczyny dotkniętej jakąś dziedziczną chorobą, która ją zawczasu na śmierć skazuje — i świadomej swego stanu. Spisuje ona testament, przeplatając swe ostatnie rozporządzenia i zlecenia spowiedzią z wrażeń i rozmyślaniami. Treść ta nie życiem, a wiele sztuką i zmyśleniem trąci i tak mało przystosowana do formy jakiegoś określonego charakteru lub typu, że w wielu ustępach sprawia wrażenie subjektywnych wynurzeń autorki. Gdyby bohaterka zasługiwała jedynie na miano istoty zwykłej, pospolitej nie było by to jeszcze jej wadą, ale ona poprostu nie ma znamion indywidualnych. Kreśli sama cechy swego charakteru: jestem krnąbrna, ambitna, nie znoszę władzy nad sobą i zależności... Ale bieda, że autorka wyznaczyła jej akcyę w szczupłym kręgu, a czyny i fakty w jej opowiadaniu występują blado, więc ta samo-analiza budzi uśmiech niedowierzania: możeś ty krnąbrna i ambitna, a może tylko rozkapryszona i sama nie wiesz czego chcesz. Dość iż nie czujemy w tej istocie uderzeń pulsu, nie przemawia ona do nas językiem i uczuciami żywego człowieka. Natomiast widome są u niej cechy klasowe. Jak wiele dam z arystokracyi, jest ona dobroczynną, współczuje biednym i wypowiada to w pięknych zwrotach stylu, czyni przytem zapisy filantropijne, okrutnie niepraktyczne. Są to dobre chęci w połączeniu z nieznajomością życia, ckliwo-sentymentalne ubolewanie nad losem czerni, której potrzeb istotnych, ani cierpień się nie pojmuje. Klasa — odbija się także w umysłowości tej bohaterki. Czytuje ona książki, ktoś nawet nazwał ją *bas bleu*, nie znosi tylko literatury ojczystej, nie wie lub nie chce wiedzieć — czy są tam talenty i rozumy, gotowa zaś czcić pustą głowę francuza. Uwielbia Bourgeta i... Loti'ego! Pierwszego można jej darować; mało go zapewne rozumie, ponieważ — jak mówi — jest w nim „zakochana," a miłość przeszkadza .. trzeźwemu sądowi. Ale gdy kobieta rozpływa się przed Lotim, jest to rys, który bardzo ułatwia oszacowanie jej głowy. Naturalnie z tej szczupłej wiązanki typowych szczegółów autorka nie czyni użytku w satyrze — broń Boże — ta strona odsłania się nie chcący. Jest też w powiastce bohater. Nie wdając się w bliższe szczegóły ani analizę oputrzyła go p. Esteja etykietą à la hrabia August, Płoszowski, Rymsza itp.

Mea, obrazek „kanadyjski," równie dobrze mógłby być australskim, jak sandomierskim. Wymagana jest miejscowość z rzeką, po której kursują statki, a w bliskości wzgórza, po których mogliby spacerować turyści angielscy. Prawda, potrzebny jeszcze wodospad. Ale czyż pomysłowa Mea w braku tego nie znalazłaby innego środka do wypróbowania odwagi swego wielbiciela. W przystępie szczerości p. Esteja powiedziałaby nam niewątpliwie, że cała ta Kanada z anglikami, francuzami i murzynami, to — środeczek niewinny i uprawniony. Mniejsza więc o to, ale przedewszystkiem Mea jest podobizną bohaterki z innej powieści tej samej autorki („Za oceanem"), a dalej wraz z swym upartym Wiliamem jest przypomnieniem figur, które dzięki płodności i wiecznemu powtarzaniu się angielskich autorek stały się już niezmiernie banalne.

W sercu garbuska — jest ze względu na wątek rzeczą najlepszą, jakkolwiek nowel tej miary liczymy u nas setki. Mały urzędniczek pocztowy, pod wpływem kalectwa swego, nabrał zgryźliwości i dokuczał wszystkim, mającym do niego interes. Z tego powodu nikt go nie lubił. Jakaś dziewczyna łagodnem obejściem podbiła jego serce, on zjednał sobie jej względy, ożenił się i — odmienił. Wkrótce żona mu umarła, a w jego sercu został smutek i łagodność. Wątek prosty i dobrze pomyślany, ale p. Esteja zbyt wiele przebywa w krajach dalekich i salonach „śmietanki," aby łatwo jej było w prosty i niewymuszony sposób opowiedzieć uczucia człowieka pospolitego i miernej kondycyi, to też opracowanie tematu albo zatrąca sztuką, albo odzywa się ckliwemi nutami.

F. B.

LISTY WIEDEŃSKIE.

4 października.

Wiedeń pod względem architektonicznym. — Gmach nowego muzeum dla sztuk pięknych.

Wiedeń przoduje dziś światu w architekturze. Porównywając budowę stolicy naddunajskiej z rozkładem innych wielkich miast kuli ziemskiej, każdy znawca przyznać musi, że dziś już nie masz w świecie miasta wielkiego, które, wzięte jako całość, mierzyć by się mogło z Wiedniem. A należy uwzględnić, że jego rozwój architektoniczny bynajmniej jeszcze nie jest zakończony, że owszem powstanie cały szereg monumentalnych budynków, a istniejące dziś ulice i place z czasem, po zburzeniu niektórych starych domów, skazanych już na zagładę przez magistrat, przepysznemi zamkną się perspektywami. W najbliższym roku właśnie zmieni się fizyognomia architektoniczna Wiednia na niejednym ważnym punkcie. W następnych listach naszkicujemy te przemiany, przygotowujące się po za rusztowaniami drewnianemi. Dziś zaś wprowadzimy czytelników *Prawdy* do wnętrza nowego muzeum dla sztuk pięknych, które w drugiej połowie b. m. uroczyście będzie otwarte i oddane przez cesarza na użytek publiczny.

Budowa zewnętrzna tego gmachu już została ukończona przed dziesięciu laty i znana jest wszystkim, którzy bodaj przelotnie zwiedzali Wiedeń. Odpowiada ona zupełnie stojącemu naprzeciw gmachowi muzeum przyrodniczego, który opisaliśmy tu przed rokiem, z powodu otwarcia jego zbiorów. Jedynie rzeźby, umieszczone na fasadach muzeum dla sztuk pięknych, odróżniają je od gmachu przeciwległego i wyrażają jego przeznaczenie. Rzeźb tych jest ilość nieprzejrzana. Są to po części alegorye — jak np. ucieleśnienie przymiotów artysty (talent, natchnienie, siła woli i miara), wyobrażenie architektury, rzeźby, malarstwa itp.; po części posągi sławnych artystów i mecenasów sztuki. Inne rzeźby znów symbolizują wpływ stosunków społecznych, politycznych i wyznaniowych oraz znaczenie sztuki dla cywilizacyi.

Lecz jeżeli zewnętrze rozmiarami jedynie prześciga podobne budynki monumentalne, jakie napotykamy w innych stolicach, to wnętrze, któreśmy dzięki uprzejmości architekta, barona Hasenauera, oglądali przed kilku dniami, jest bez wątpienia najwyższym wyrazem tego, czego architektura dziś dokonać może. Wyobraźcie sobie olbrzymi westybul ośmiościenny, ozdobiony filarami z czerwonego marmuru i powałą, pokrytą płaskorzeźbami i ornamentyką; dalej klatkę schodową znacznie większych rozmiarów, aniżeli w największych dotychczasowych gmachach monumentalnych, wykładaną aż pod gzems czarnym, biało nakrapianym marmurem i ozdobami kruszcowemi o złocistym połysku; wreszcie olbrzymią kopułę, przez której barwne okna wpada światło, rozjaśniając kształty niezliczonych rzeźb, pnących się aż pod sam szczyt kopuły! Dodajcie do tego przepyszne obrazy na ścianach i powale klatki schodowej, wykonane przez mistrzów pierwszorzędnych, a odtworzycie sobie może w wyobraźni tę wspaniałą harmonię kształtów i barw w przedsionku wiedeńskiej galeryi obrazów i zbiorów starożytności.

Trzebaby zapisać tom cały, ażeby dokładnie zdać sprawę z wszystkich tych dzieł sztuki, któremi ozdobiono wnętrze tego gmachu. Nadmienimy pokrótce tylko, że powałę zdobi olbrzymich rozmiarów obraz Munkaczego, przedstawiający apoteozę sztuk pięknych, a w lunetach tuż pod powałą umieszczono dwanaście obrazów Makarta, na których widzimy postacie największych mistrzów pędzla i dłuta w towarzystwie uczniów, modeli lub muz—kochanek. Klimmt i Matsch przedstawili rozwój sztuki w 40 alegorycznych postaciach, umieszczonych poniżej gzemsu.

Z klatki schodowej wstępujemy do owego olbrzymiego przedsionka, który przesklepiony jest kopułą. I tu filary marmurowe wysokości dwóch piętr, i tu kapitele złotem świecące. Wspomnieliśmy już, że tu się skupiają rzeźby, zdobiące wnętrze gmachu muzealnego. Widzimy więc naprzód ucieleśnienie wszystkich gałęzi sztuki i przemysłu artystycznego: są to postacie chłopców i dziewcząt z emblematami odpowiednimi, opierające się o łuki arkad. Niezrównany w charakterystyce Weyer wykonał te postacie, które są nawskroś dziełem ducha nowoczesnego. Wyżej widzimy osiem płaskorzeźb, przepełnionych figurami, tworzących niejako fryz ogromnych rozmiarów. Są to sceny z życia najwybitniejszych członków dynastyi Habsburgów, którzy opiekowali się sztuką i przyczynili do powstania zbiorów, pomieszczonych dziś w muzeum. Są to również dzieła Weyra; śmiało rzec można, że podobnej, wprost dramatycznej żywości akcyi i takiej rodzajowej już niemal siły charakterystyki nigdy dotychczas w rzeźbie nie widziano. Dostrzegamy tu cesarza Karola II w otoczeniu swych architektów, Rudolfa II w laboratoryum, arcyksięcia Leopolda Wilhelma z malarzem Teniersem, zwiedzających ober-

żę holenderską, w której właśnie odbywa się bójka chłopów itp. sceny wprost z życia wzięte, a jednak wspaniale traktowane.

Lecz na tem nie kończy się przepych architektoniczny tego gmachu. Główne sale, w których mieszczą się zbiory, również ozdobione są malowidłami i rzeźbami. I tu poprzestać musimy na wyliczeniu dzieł najgłówniejszych. Wspomnimy więc, że profesor Juliusz Berger wykonał wielki obraz, przeznaczony dla powały jednej z sal, a będący apoteozą mecenasów sztuki w Austryi; że rektor akademii, słynny Eisenmenger, ozdobił salę rzymską fryzem, złożonym z 76 obrazów, a wyobrażającym bóstwa greckie. Dalej Franciszek Simm, Iharger i inni podzielili się udekorowaniem sal.

Innym razem doniesiemy czytelnikom *Prawdy* o samych skarbach tego muzeum, które obecnie po raz pierwszy zebrane zostały z wszystkich zamków cesarskich, a które stoją na równi z pierwszymi w świecie zbiorami.

Stwosz.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z GALICYI.

Lwów, 10 października.

Epilog sprawy podhajeckiej.—Wystawa ogrodnicza.—Synod ruski.

Jeżeli kiedy mogła u nas opinia publiczna zapisać zwycięztwo sprawy, podniesionej z całą siłą przekonania, z całem poczuciem jej doniosłości dla dobra ogółu — sprawy, w imię której stoczono walkę z oportunizmem, niechęcią, a nawet uprzedzeniem, to obecnie po załatwieniu „faciendy“ podhajeckiej.

Ostatecznie kontrakt z Lilienfeldami rozwiązany, a kilka tysięcy morgów ziemi ornej od zgubnych lub obojętnych wpływów uratowano dla ludności swojskiej. Co do strony materyalnej, Lilienfeldowie sami odstąpili od dzierżawy dóbr Podhajeckich, pod warunkiem, iż mają im być zwrócone koszty kontraktu, wynoszące 11 tysięcy i kilkaset złr. Trzy folwarki zaś, które dawniej posiadali, pozostawiono im nadal jeszcze na lat dwanaście. Wydzierżawieniem pozostałych ośmiu ma się zająć komisya. Tak więc ocalono kawał ziemi dla rodzinnego pługa, ale odstąpienie winowajców i przyznanie się ich pośrednio przynajmniej do zarzucanych im grzechów sprawia na nas przygnębiające wrażenie.

W tych dniach zamknięto w ogrodzie botanicznym wystawę pszczelniczo-ogrodniczą. Dotychczas istniały dwa towarzystwa: ogrodnicze i pszczelnicze, które nietylko nie wspierały się wzajemnie, lecz nieraz w sposób niegodziwy współzawodniczyły z sobą. Obecnie oba połączyły się, a owocem tego związku jest ta pierwsza wystawa. Wygląda ona skromnie, nawet ubogo, ale zawiera same produkty krajowe. Przyczyną tego ubóstwa są klęski żywiołowe i ekonomiczne, powtarzające się u nas co roku, regularnie... Liczba uczestników, szczególnie z prowincyi, jest nadzwyczaj szczupła, tak, że możesz ich policzyć na palcach i wszystkich nie użyć. Można powiedzieć bez przesady, że dwie trzecie części całej wystawy zajęły dwie lwowskie firmy ogrodnicze. Okazali ci „kupcy“ rzeczy piękne i ponętne dla oka, ale o stanie ogrodnictwa w kraju nie dają one żadnego wyobrażenia. Ktoby chciał po ich olbrzymich arbuzach, dyniach, burakach itp. sądzić o warzywnictwie galicyjskiem, ten — jak tu mówią — trafiłby palcem w niebo.

Z prowincyi najpiękniejsze rzeczy przywieźli wystawcy, zajmujący się ogrodnictwem z amatorstwa, wielcy panowie, utrzymujący cieplarnie, uczonych ogrodników, sady szczelnie zamknięte i kosztujące dużo pieniędzy; niema tu prawie nic, coby znamionowało przeciętny stan kultury kraju. Produktów chłopskich nie widzimy ani śladu. Nawet te, które z całego warzywnictwa są dla nas najważniejsze—kartofle, przybyły tylko z dwu miejsc w nieliczenych gatunkach, przeważnie zbytkowych.

Urządzający wystawę nie zdobyli się na okazanie gleby z różnych stron kraju wraz z odpowiedniemi owocami i jarzynami. Natomiast udały się świetnie próby miodosytnictwa. „Przepróbowano“ w ciągu 3 godzin poważną ilość 25 gatunków, według starych recept, poczynając od młodzika, a kończąc na starym, 20-letnim, w którym fermentacya przeszła już granicę temu napojowi właściwą. Pierwszeństwo przyznano miodom „panieńskim,“ t.j. czystym, bez domieszek korzeni, a z miodów korzennych okazały się najlepszymi „kopiec“ i „bernardyński.“

Od dwu tygodni odbywają się narady synodu ruskiego, nazwane publicznemi chyba dlatego, że je zamknięto dla publiczności i że przebieg ich zakryty mgłą najgłębszej tajemnicy. To dziś wszakże wiadomo powszechnie, że narzucony program wywołał pośród uczestników zjazdu ogólne niezadowolenie. Objawiło się ono prawie jednomyślną i nadzwyczajnie ostrą opozycyą przeciw pomysłom i wnioskom delegata papiezkiego i działających w jednym duchu z nim biskupów. Pośród duchowieństwa znaleźli się dzielni kanoniści i historycy, którzy z godnością, lecz stanowczo odpierają wszelkie zamachy hierarchów na swobodę słowa i myśli, powołując się na bulle, dekrety synodów itp. Zaraz z początku na zapytanie delegata Ciasca: czy pośród zebranych nie ma takiego, kogoby należało wyłączyć stosownie do przepisów kościelnych, powstał jeden z członków komisyi, ksiądz z biednej parafii podgórskiej i począł z całą otwartością dowodzić, że należy wykluczyć samego biskupa Kuiłowskiego, który jako żołnierz przelewał krew, a święcenia kapłańskie otrzymał w Paryżu, gdzie nie wiedziano o tym „impedymencie.“ Wywarło to silne, lecz wprost przeciwne wrażenie, niż się spodziewano. Wielką wrzawę narobił pierwszy — o ile nam wiadomo — punkt programu synodu. Watykan zaproponował wliczenie w poczet świętych cerkwi greckiej trzech „facetów“: Ignacego Lojoli, Arbueza i Torkwemady!.. Wywołało to wcale niemiłą dla niego dyskusyę na temat dobrodziejstw inkwizycyi, nawracania za pomocą ognia i butów hiszpańskich itp. Z arsenału zarzutów przy tej sposobności wypowiedzianych wyjmujemy jeden przemawiający do przekonania. Oto zapytano delegata papiezkiego, dlaczego kościół *łaciński* nie bierze ich w poczet swoich świętych (prócz Ignacego). Kardynał odrzekł, że Arbueza i Torkwemadę kanonizował Pius IX. Na to jednak komisya zwróciła uwagę kardynała, że mimo to kanonizacya owa nie była „promulgowana“ (ogłoszona) w Galicyi.

Sprawa celibatu duchowieństwa ruskiego była przedmiotem najbardziej ożywionych obrad. Oddano ją pierwotnie komisyi obrzędowej, której prezesem jest ks. biskup Kuiłowski. Ten jednak, widząc niechęć zgromadzonego duchowieństwa, postarał się o to, że przeniesiono ją do komisyi naukowej, której przewodniczy ks. biskup Pełesz. Duchowieństwo, zebrane na synod, zaraz po przeczytaniu kwestyonarza, przedstawionego do narad, postanowiło, aby sprawę celibatu z góry usunąć i nie dopuszczać jej nawet pod obrady komisyjne. Odnośną uchwałę złożono na ręce metropolity, który jednak jej nie uwzględnił.

Potem przyszła na stół owa sprawa w tej oto formie niesmiałej: Czy synod uznaje za skuteczne, ażeby duchowni ruscy wpływali na alumnów, izby ci wyświęcali się bezżenni. Prawie wszyscy uczestnicy synodu zebrali się na ową naradę, w której stoczono zaciętą walkę. Metropolita Sembratowicz używał całego wpływu w tym duchu, widząc zaś, że księża dyecezyi przemyskiej najsilniej występują przeciw celibatowi, któremu nieprzychylny jest i ks. biskup Pełesz, uznał za rzecz stosowną ostrzedz duchownych swej dyecezyi przed „buntownikami“ i groził „suspensą“ każdemu porochowi, który nie będzie głosował za celibatem. Nie zdołała jednak tak dobitna groźba ująć księży, którzy ze stoicyzmem odparli: Jeżeli tak, to niech nas wasze preoświaszczeństwo natychmiast wszystkich suspenduje. I po dwudniowym oporze postanowiono wszystkimi głosami przeciw trzem czy czterem sprawę celibatu odrzucić.

Upadłszy w komisyi, powinna ona była pojawić się na pełnem zebraniu synodu. Widząc jednak upór metropolity, duchowieństwo wysłało deputacyę do ks. Ciaski, aby mu przedstawić niebezpieczne dla rozwoju cerkwi ruskiej skutki podnoszenia owej nieszczęsnej kwestyi. Delegat papieski miał oświadczyć, że „Rzym wcale nie nalega na przeprowadzenie tej reformy, którą „forsuje“ właściwie tylko metropolita. Argumenty duchowieństwa są bardzo poważne, przedstawię je na naradzie biskupów.“ Tu ustąpił metropolita o tyle, że postawił komisyi jeszcze jedną „wersyę“ celibatu: Każdemu alumnowi ma być wolno żenić się przed wyświęceniem, pożądanem jednak jest, aby na stanowiska, gdzie ksiądz z żoną wyżyć nie może, posyłano tylko wyświęconych w bezżeństwie.

Dlaczego metropolita tak się upiera przy zaprowadzeniu celibatu, o tem krążą rozmaite „wersye.“ Opowiadają, że przyjmując nominacyę arcybiskupa, złożył uroczyste przyrzeczenie, iż jednem z głównych jego zadań będzie zaprowadzenie bezżeństwa w klerze ruskim. Komu to ślubował, łatwo się domyśleć. Na posiedzeniu komisyi przypomnieli mu członkowie synodu słowa, któremi przywitał go ś. p. biskup Słupnicki, winszując mu nowej godności. „Wiem — miał on powiedzieć — jakie pakta musiałeś wasze preoświaszczeństwo podpisać. I mnie ofiarowano metropolię pod tymi warunkami, ale przeczytawszy je, odpowiedziałem, że tego nigdy nie uczynię. Życzę waszemu preośw. szczęścia, chociaż nie sądzę i nie pragnę, aby się życzenie moje spełniło...“ „Metropolita — pisze *Hałycka Ruś* — przysięgał, że kocha cerkiew i narodowość ruską i że u niego jest ruska krew i kość — ale słowom, któremi go powitał ś. p. Słupnicki, nie zaprzeczył. Gdy na posłuchaniu opornego duchowieństwa wyraził żal, że nie cieszy się zaufaniem pośród niego, członkowie synodu potwierdzili to słowami: Tak jest!“

W całym synodzie zdołał metropolita „przeforsować“ ustanowienie święta Bożego ciała, zachowanie wykładów łacińskich na wydziale teologicznym z przytoczeniem ruskich tekstów z Pisma św., tudzież zaprowadzenie monstrancyi i suplikacyj. Prócz tego udało się z klerykałami przeprowadzić pochwałę reformy bazylianów, dokonanej przez jezuitów. Kwestya ta traktowana była w komisyi, gdy jednak członkowie jej zaczęli ks. Sarnickiemu, osławionemu reformatorowi bazylianów przypominać rozmaite jego grzechy i wyrażać zdziwienie, że jezuici jego pierwszego nie zreformowali, prosił, aby przedmiot ten usunąć z porządku dziennego. Prezes komisyi spełnił jego życzenie, a członkowie synodu myśleli, że o klasztorach i ich reformie nie będzie już mowy, a tem samem i uchwały. Tymczasem na najbliższem ogólnem posiedzeniu odczytano „rezolucyę,“ pochwalającą reformę bazylianów przez jezuitów, a duchowieństwo musiało przyjąć ją do wiadomości, gdyż na uroczystych zgromadzeniach synodu nie dopuszczono żadnych rozpraw.

Pomimo przecedzenia przez trzy wody, jądro rzeczy pozostało. Również zaprojektowano przez Rzym reformy studyów teologicznych zawierają sporo rzeczy niezgodnych z duchem cerkwi greckiej. W chwili, kiedy walka z celibatem zawrzała na dobre, przedstawił synodowi jedyny świecki jego uczestnik, prof. uniw. Szczaniewicz, któremu jako seniorowi Stauropigii pozwolono być tylko niemym świadkiem narad bez prawa zabierania głosu, obszerny memoryał przeciw zaprowadzeniu celibatu w cerkwi. Równocześnie wpłynęło podanie w pokrewnej sprawie, aby księżom owdowiałym wolno się było żenić po raz wtóry. Zwyczaj ten istniał w cerkwi prawnie do początku XVII w., a nawet i później zdarzały się wypadki powtórnych ślubów księży ruskich, które przez biskupów uznane były za ważne. Dr. Okuniewski, który sam owdowiawszy, zrzucił sutannę i został lekarzem powiatowym na Bukowinie, nie przestaje domagać się przywrócenia tego dawnego prawa cerkwi ruskiej. W podaniu też swojem zapowiada, że gdyby synod nie załatwił pomyślnie jego prośby, ogłosi swój powrót do cerkwi staro-ruskiej i jako ksiądz będzie dawał powtórnie śluby księżom wdowcom. Wykonanie tej groźby mogłoby pociągnąć za sobą ważne następstwa, gdyż wywołałoby niewątpliwie rozłam i mogłoby się stać powodem utworzenia się narodowej cerkwi ruskiej, uznającej jedność z kościołem, ale zostającej w opozycyi przeciw zachciankom jego „widomej głowy.“ Przy ogólnem naprężeniu doszło do tego, że miał się w gmachu seminaryum ruskiego odbyć kosztem ks. metropolity wielki bankiet dla zgromadzonego na synod duchowieństwa. Opór jednak przeciw ukochanej przez metropolitę idei tak go zirytował, że w ostatniej chwili cofnął on swe postanowienie, kiedy już wszystko było przygotowane. Restaurator, narażony z tego powodu na wielkie koszty, wystawił mu bardzo słony rachunek, co niewątpliwie nie wpłynie na zmniejszenie kosztów synodu, ani też na ulżenie ciężarów, jakie obciążają zadłużone dobra metropolitalne. Rozłam duchowieństwa ruskiego objawił się na synodzie z całą jaskrawością, co dało pismom tutejszym sposobność do dotknięcia znowu jątrzącej się u nas ciągle kwestyi ruskiej. Z tej plewy dziennikarskiej zasługują na podniesienie tylko uwagi Iwana Franka, opisujące przedmiotowo całe to przesilenie, z których tu korzystamy. Najstarsze wiekiem stronnictwo, zwane świętojurskiem, rozpadło się na kilka odłamów, mających w gruncie rzeczy mało co z sobą wspólnego. Ze stronnictwa tego wyłoniły się lub z ram jego wypadły żywioły łączące w sobie bezwzględną uległość Austryi ze ślepem posłuszeństwem Rzymowi.

Biskupi, czyli jak ich rusini nazywają „kniaziowie cerkwi,“ stojący na czele stronnictwa i ciążący do Rzymu, mają z powodu swego stanowiska nietylko przemożny wpływ na ogół duchowieństwa, któremu nieraz mogą wprost rozkazywać — co prawda, ze skutkiem nie zawsze odpowiadającym ich zamiarom — wywierają oni znaczny nacisk na pracę polityczną, a nawet naukową — ale przedewszystkiem są wobec sfer decydujących niejako rzecznikami interesów Rusi i wyrazicielami jej woli. Ich głosu sfery to słuchają, do niego też niejednokrotnie stosują swe postępowanie. Klasycznym przykładem tego jest sławna reforma bazylianów, którą powierzono jezuitom jedynie na podstawie doniesienia ks. Sarnickiego i metropolity wbrew woli i interesom ludności tudzież całego duchowieństwa ruskiego. Zakończony obecnie synod jest nową ważną próbą siły tych żywiołów. Zamierzyły one wykonać atak stanowczy na dotychczasowe stosunki i położyć kamień węgielny pod trwałą budowę klerykalizmu na Rusi, przez zaprowadzenie celibatu. Wszelkie środki dla przeprowadzenia tego zamiaru obmyślano ze starą jezuicką zręcznością, zwołano synod mianowany a nie wybierany, pozbawiono uczestników prawa głosowania, a jedynego świeckiego przedstawiciela nawet prawa zabierania głosu, otoczono narady najgłębszą tajemnicą, uciekano się nawet do takich środeczków, jak groźby i ukracanie swobody słowa, zniesienie, *bez odwołania*, uchwał komisyi itp. Z jakim skutkiem? To już przewidzieć łatwo. Oczywiście „przeholowano,“ przeliczono się sądząc, że grunt pod posiew bezwzględnego ultramonizmu na Rusi jest już przygotowany. Nacisk wywołał opór, lecz czy zabiegi ultramontańskie tym razem udaremnione, ubito na zawsze, czy chociażby na długo? Nie. Jezuici znajdą sposoby do osiągnięcia swych zamiarów i bez synodu.

Beta.

PAMIĘTNIK.

Zapomogi.

Departament kolejowy — według *Kuryera warsz.* — zwrócił się do zarządów dróg żelaznych w Królestwie polskiem z zapytaniem, o ile wzięły one pod uwagę wyjątkowe warunki roku bieżącego i w jaki sposób zamierzają uwzględnić położenie swych urzędników, dotkniętych z innemi warstwami ludności klęską nieurodzaju i idącą za nią drożyzną. Departament wyraża przytem życzenie, aby zarządy przy stosowaniu środków pomocy zachowywały właściwą zasadę, dzieląc urzędników na trzy kategorye: obarczonych rodzinami, żonatych, ale bezdzietnych i kawalerów. O ile wiemy — powiada *Kuryer* — zapytane zarządy stanowczej decyzyi jeszcze nie powzięły, sprawa sama wszakże jest *już dziś* na porządku dziennym...

W doniesieniu tem jest kilka punktów godnych zaznaczenia. Przedewszystkiem zauważyć warto, że wprzód departament w Petersburgu, niż zarządy w Warszawie, zatroskał się o los urzędników kolejowych wobec drożyzny. Gdyby ta dbałość objawiła się odwrotnie, mianowicie gdyby zarządy wystąpiły do departamentu z przedstawieniem konieczności udzielenia zapomóg — byłby to krok bardzo naturalny i świadczący o ich charakterze obywatelskim. Ponieważ stało się inaczej, więc trudno teraz odsunąć wątpliwość, czy zarządy pomyślałyby z własnej pobudki o swych pracownikach, gdyby departament kolejowy ich nie zagadnął. Wątpliwość taka jest tem bardziej usprawiedliwiona, że „dotąd nie powzięły stanowczej decyzyi,“ czemu wielce dziwić się można. Ale „sprawa jest już na porządku dziennym.“ Oby ten porządek dzienny nie był zbyt długi, a ta sprawa nie znalazła się na jego ogonie, który sięgnie aż po za zimę.

Bardzo słuszna wydaje nam się zasada podziału urzędników na kategorye według ich potrzeb. Dotychczasowy system — jak zauważyliśmy już dawniej — polegający na ustosunkowywaniu zapomóg do pobieranej pensyi, był, mówiąc przysłowiowo, smarowaniem tłustych połciów. Ktoś, pobierający 3,000 rs., otrzymywał 10 razy więcej, niż otrzymujący 300 rs... podczas biedy. Są to wprost nieprzyzwoite kpiny. Nadto ludzie, mający rodziny, daleko bardziej zasługują na uwzględnienie, niż kawalerowie lub bezdzietni. Zresztą „wiedzą sąsiedzi jak kto siedzi.“ Dyrekcya kolei zna bardzo dobrze lub poznać może położenie materyalne każdego ze swych urzędników, wie ona, że jedni pogrążeni są w długach, drudzy posiadają kamienice lub kapitały; gdyby więc złożono komisyę zapomogową i gdyby ona zechciała być bezstronną, wyznaczyłaby zasiłki najbardziej potrzebującym. Nie jest to zadanie tak trudne do rozwiązania, wymaga tylko odrobiny energii, dobrej woli, stłumienia egoizmów i narady uczciwej, obywatelskiej, a nierzucania się z żarłocznością na fundusz gratyfikacyjny, z którego największe kawały wydzierają innym najsilniejsi.

Opowieść ziarna zboża.

Na pozór mamy wielki przemysł, mamy rozwiniętą i według wzorów zagranicznych ukształtowaną maszynę wymiany towarów, a ile razy ktoś świadom obrotów handlowych targowiska naszego opowie nam jego tajemnice, musimy zdumiewać się nad pierwotnością stosunków ekonomicznych. Czy wiecie np. co ma być jedną z przyczyn drożyzny chleba u nas? Haracz płacony najrozmaitszego rodzaju „pośrednikom,“ którzy dostarczają piekarniom zboża, mąki, drożdży itd. Ten podatek pasorzytniczy — zdaniem p. L. K. P. (*Kur. warsz.*) dochodzi nieraz do 10% kosztów. Zaiste ciekawą historyę opowiada nam każde ziarno zboża. Rolnik — mówi ono — siejąc mnie w ziemię i zbierając z plonem, chce na mnie zarobić. Żyd, który lata po wsiach i nabywa zboże, chce na mnie zarobić. Handlarz, który skupuje większe zapasy ziarna, chce na mnie zarobić. Pośrednik, który zawiązuje stosunki między nim a młynarzem, chce na mnie zarobić. Młynarz chce także na mnie zarobić. Inny pośrednik, który obsługuje piekarza, chce na mnie zarobić. Piekarz również chce na mnie zarobić. Sklepikarz, sprzedający chleb i bułki, chce na mnie zarobić. Zanim więc dostanę się z ziemi do ust spożywcy, muszę przejść przez cały ten długi szereg rąk, których połowa nie podnosi mojej wartości, tylko opodatkowywa mnie na własną korzyść.

Z tego szeregu niepodobna usunąć trzech: rolnika, młynarza i piekarza, wszyscy inni w doskonalszym ustroju ekonomicznym nie mieliby dla siebie miejsca. Byłoby donkiszoteryą, gdybyśmy wystąpili do walki z wszelkimi pasorzytami produkcyi i radzili odsunąć ich od chleba, któremu dostęp do biedaków w roku bieżącym tak utrudniony. Tego rodzaju oczyszczenie dziedziny wytwórczości nie może być ani zadaniem, ani skutkiem opinii publicznej, chociażby ona odezwała się wszystkimi swoimi organami. Co najwyżej, uwydatniając łańcuch złego, wskazujemy kierunek, w którym usiłowania ludzkie dążyć winny. Nie ulega wątpliwości, że gdyby ziarno zboża przechodziło od producenta tylko przez młynarza i piekarza do spożywcy, nie potrzebowałoby opłacić się tylu „pośrednikom“ i nawet w latach nieurodzaju nie zamieniałoby się na kosztowną grudkę złota. Pan L. K. P. przeto ma zupełną słuszność, ale piekło jest wybrukowane jeszcze więcej racyami, niż dobremi chęciami. Choroby tej nie wyleczy plaster najbardziej gryzących słów. Przemysł, jak każdy organizm, poddaje się tylko koniecznościom, a nie życzeniom. Kiedyś, kiedyś takie konieczności przed nim staną i nieodwołalnie nakażą mu zmienić drogę; dziś zaś osypany kurzem wyrazów, rad i napomnień może i umie on kroczyć tylko udeptaną drogą, tj. podawać towar z rąk do rąk, w każdej jakiś okruch zostawić, a oskubaną resztę zaofiarować spożywcy, który musi za wszystkie „usługi“ zapłacić. *O.*

Gimnastyka dla kobiet.

P. Korycińska otworzyła przy swej szkole zakład gimnastyczno-leczniczy dla kobiet. Pozostaje on pod nadzorem urzędu lekarskiego, a nauka prowadzona będzie pod kontrolą lekarza. Do szkoły tej uczęszczać mogą dzieci obojej płci, nieliczące wszakże więcej, niż lat 12; starsze zaś tylko dziewczęta. Opłata 3—6 rs. miesięcznie. Ciekawi lub interesowani bliższych szczegółów mogą się dowiedzieć w samym zakładzie, my tylko pozdrawiamy go szczerze. Nakoniec! Nakoniec ktoś zajął się tem, ażeby nasze kobiety były fizycznie rozwinięte, zdrowe i ładne. Tak, ładne. Bo nie wierzcie „nado-

bne córy Syreniego grodu," „piękne gosposie," „królowe balów," wszystkie nasze Wenery i Dyany Olimpu reporterskiego, ażeby stary helen, spojrzawszy na was, doznał zachwytu. Przeciwnie uczułby raczej litość, widząc wasze patyczkowate rączki i nóżki, stany do os podobne, spłaszczone piersi, cały ten niedorozwój lub kalectwa, które sprowadzacie sobie bądź naturalnie, bądź sztucznie. A gdyby mu jeszcze powiedziano o waszych „gorsetowych wątrobach," zsuniętych sznurówkami żebrach, gumach i watach, któremi wypełniacie wklęsłości lub tworzycie zaokrąglenia — uciekłby przerażony i zrozumiał, dlaczego śród tych widm i wypchanych manekinów nie rodzą się Fidyasze. Czasem natura jest tak dobra, że mimo całego naszego niedbalstwa, a nawet przeciwdziałania jej w fizycznem wychowaniu kobiet, nadaje im piękne kształty, jak gdyby chciała dla rodu niewieściego zachować klasyczne wzory. Ale czyni to ona bardzo rzadko, pozostawiając ludziom dbałość o wykształcenie swego ciała. Jeżeli zaś oni wynaleźli jakiś skuteczny ku temu środek, to są nim tylko ćwiczenia gimnastyczne. Więc szanowne mamy i matrony, „nadobne córy Syreniego grodu" i tym podobne ofiary własnych złudzeń, unikajcie nadal wody, która wam „płeć psuje," udelikatniajcie ją wszelakiem paskudztwem, krochmalcie się stanikami, używajcie gumy i waty, kaleczcie się gorsetami z przekonaniem, że to was pięknemi czyni i kogoś oszukuje, ale córkom waszym pozwólcie zdobywać urodę gimnastyką. Będzie ona bowiem pewniejsza, trwalsza i... ponętniejsza od tej, jaką dają octy, farby, pudry, błony wieprzowe i plastry cielęciny. Jeżeli której z was zdarzy się być w Rzymie, zajrzyjcie do galeryi Watykanu, a przekonacie się, że między rzeźbami greckiemi najpiękniejsza jest Hygeja — bogini zdrowia. Niech wam radzą fryzyerzy i krawcy, ale waszym córkom — Fidyasze i Praksytelesi. Oni zdradzą tajemnice i objaśnią was, co robiły kobiety heleńskie, ażeby stać się godnemi ich dłuta. *A.*

Ion.

Śród literatów warszawskich p. J. Kotarbiński należał do szczupłego gronka, które cieszy się sympatyą wszystkich pism i stronnictw. Nawet wtedy, kiedy maszerował wyłącznie w szeregu postępowym, miał przyjaciół w obrozie nieprzyjacielskim. Chwalono go jako dziennikarza, chwalono jako aktora, a lubiano człowieka, który w walce nie umie boleśnie ranić, we współzawodnictwie — łokciami roztrącać, w obronie zasad — stawiać sporu na ostrzu noża. I byłby p. Kotarbiński niewątpliwie doszedł do kresu życia śród tych objawów wszechstronnej przyjaźni, gdyby nie został reżyserem. Usłyszawszy o tej jego nominacyi, wiedzieliśmy odrazu, że swą sympatyę postawił na wielce ryzykowną kartę. Bo jeżeli młynarz z bajki, jadący z synem i osłem, a niemogący dogodzić widzom, zostawił po sobie nieszczęśliwego potomka, to jest nim reżyser teatrów warszawskich. Czy wsiądzie na osła z synem, czy sam, czy wsadzi tylko syna, czy obaj iść będą pieszo, zawsze w tłumie znajdzie się ktoś, kto biednego człowieka wydrwi lub zgromi. Skoro podoba się pismu A, nie podoba się pismu B lub C, gdyż w każdem siedzi jakiś ukryty dramaturg, komedyopisarz, słowem, pretendent do sceny, który albo chciałby ją jak najczęściej ozdabiać swoimi utworami, albo zastosować do swoich upodobań. Jak wiadomo, teatr jest naszą słabostką; liczymy śród siebie tylu reżyserów, że moglibyśmy nimi obdzielić całą kulę ziemską i jeszcze zostawić znaczny zapas dla mieszkańców Marsa, z którymi mamy wkrótce wejść w bliższe stosunki. Jakże więc jeden młynarz, chciałem powiedzieć — znawca sztuki dramatycznej i aktorskiej może rościć pretensyę do zadowolenia tylu konkurentów do swojego stanowiska! To też, zdaniem naszem, p. Kotarbiński, gdy mu zaczęto przyganiać, powinien był filozoficznie znieść tę nieuniknioną konieczność losu i stratę sympatyi, a nie podejmować sporu w pismach publicznych, który go do niczego nie doprowadzi. Przeciwnicy bowiem dowiodą mu niezbicie, że wystawiając *Manfreda*, źle robi, że wogóle wprowadza repertuar na błędną drogę, że ktoś inny (ma go w pogotowiu) na jego miejscu lepiej by sobie począł itd. Jeżeli p. Kotarbiński temu nie wierzy, niech przynajmniej nie przeczy, niech siedzi cicho, bo stanie się podobnym do zająca, który by żądał, aby na niego nie polowano. Albo trzeba przestać być zającem, albo zgodzić się na myśliwych. Nie można nawet odwołać się do towarzystwa łowieckiego z prośbą o ochronę, bo taka zwierzyna jak reżyser, nie posiada jeszcze uorganizowanej opieki. Wolno na nią polować o każdej porze i wszelką bronią, nie wyłączając sideł. *W.*

Ruina.

Zanim Towarzystwo oczyszczania spirytusu zebrało swych uczestników i przedstawiło im bilans, *Gazeta losowań* zaatakowała je bardzo ostro, dowodząc, że jest źle prowadzone, niedołężnie administrowane, a zwłaszcza w swej gospodarce fałszywie rachunkowane. Atak ten wydał się nam zbyt zawziętym, tem bardziej, że oświetlono w nim wyłącznie tylko stronę najsłabszą. Tymczasem obrady członków nie złagodziły wcale ciemnych barw *Gazety*, a nawet je wzmocniły. Pomiędzy zarządem a komisyą rewizyjną i jej sekundantami wywiązało się ostre starcie o to, co nie powinno być przedmiotem zatargu w przedsiębiorstwie porządnie prowadzonem, mianowicie o bilansowanie majątku Towarzystwa. Co jedni uważali za dochody, to inni — za straty, a różnice były ogromne. Skutkiem tego zarząd podał się do dymisyi. Wybrano nowy, ale ponieważ niektórzy z obdarzonych zaufaniem nie znajdowali się na posiedzeniu i nie wiadomo, czy mandat przyjmą, upadająca budowa pozostaje chwilowo bez podpór i bez nadziei dźwignięcia się z upadku. Nie myślimy nikogo zniechęcać, ale z dotychczasowych doświadczeń nie możemy dla Towarzystwa wyciągnąć pomyślnej wróżby. Albo ono nie ma mocnego gruntu, albo mu dano złe podwaliny — jak to u nas często się zdarza — odpowiednio uzdolnionych ludzi. Cokolwiek bądź w stanie ruiny dalej istnieć nie może.

Tania filantropia.

Możnaby myśleć, że jesteśmy narodem wyjątkowym. Zaledwie Towarzystwo wzajemnej pomocy subjektów handlowych i przemysłowych m. Warszawy rozesłało do swoich patronów okólnik w sprawie święcenia niedzieli, a już ktoś mógłby zawołać, że odezwa ta nie pozostała głosem wołającego na pustyni, a następnie wysnuć jeszcze inne wnioski. Od niejakiego czasu *Kuryery* pomieszczają listę kupców i przemysłowców, którzy nadesłali odpowiedzi przychylne. Wprawdzie jeden z nich żałuje, że panowie przedsiębiorcy zwlekają z załatwieniem sprawy i nawołuje do pośpiechu w nadziei, że „odpowiedzi przychylne, warunkowe lub odmowne pomogą do wyjaśnienia przedmiotu, zbliżą opinie i ułatwią kompromis tam, gdzie interesy pracodawców i pracowników będą się różnić"! Nie odznaczamy się optymizmem kuryerowym i nawet przychylnym odpowiedziom, wątpliwym zresztą, nie przypisywalibyśmy, gdyby nadeszły w większej liczbie, żadnego donioślejszego znaczenia, gdyż pamiętamy, że, jak powiada przysłowie, łaska pańska na pstrym koniu jeździ. Nauczeni doświadczeniem bardziej rozwiniętych krajów, byliśmy jednak zdziwieni nawet tą garstką oświadczeń przychylnych, które nadesłano. Zaczęliśmy systematycznie przeglądać listy i zauważyliśmy, że wśród firm wymienionych znajdują się takie, które nigdy nie pracowały w święta. Wkrótce utrwaliliśmy się w tem przekonaniu co do większości ofert. Nie jesteśmy tedy ostatni na tym globie reklamy. Dzięki warunkom samego zawodu zamykam kantor swój lub sklep w święta. Nadchodzi do mnie okólnik Towarzystwa subjektów. Chwytam za pióro i ślę pozdrowienie z całego serca „dobrym zamiarom" wraz z przychylną odpowiedzią. Zyskam darmo chociażby nazwę porządnego człowieka. I to coś znaczy!..

Istotnie jesteśmy narodem wyjątkowym — blagierów. *Ż.*

Nasz Rafael.

Czasy pary, elektryczności, postępów krytycyzmu na wszelkich polach życia umysłowego, zapasów klasowych, zawziętego tańca około złotego cielca — nie sprzyjają religijnym objawom twórczości estetycznej. Jeżeli jednak pomimo to ktoś usiłuje sobie przypiąć do czoła listek wawrzyny na tem osieroconem i porosłem chwastami polu, dzieło jego nosi właściwe piętno chwili. Tak się też stało z tem, które zapragnął stworzyć ilustrator *Pana Tadeusza*. Zagrzany sławą Smuglewiczów i Czechowiczów, podjął się on wykonać cały cykl obrazów religijnych (14), mających ozdobić jedną ze świątyń Kowna. „Fakt ten — powiada *Przegląd katolicki* — przypominający wiek Rafaelów i Buonarottich, całkowicie malujących stanze, loggie i kaplice papiezkie, nasuwał wszystkim rozmaite wątpliwości: o ilustratorze nikt nie słyszał jako o malarzu religijnym; nie bez racyi przeto można było powątpiewać, ażali te jego obrazy będą licowały z powagą świątyni. Innym znowu wprost niepodobnem się zdawało, aby w przeciągu krótkiego stosunkowo czasu można było dokonać dzieła tak ogromnego, bez ujmy dla sztuki samej." A jednakże są rzeczy, o których nie śniło się jeszcze reporterowi polskiemu w wieku Barnuma: artysta podołał tak ciężkiemu zadaniu — zamienił ołówek, któremu sztuka nasza zawdzięcza tyle głów dziewic rozczochranych i rąk wijących się splotami wężów — na pędzel i namalował owe 14 obrazów. Naoczny świadek, który to widział, nigdy nie zapomni „tej uczty duchowej," jaką mu artysta zgotował, gdy rzucał pierwsze linie węglem, w ciągu *pięciu* minut naszkicował cały obraz, gdy później po *dwóch* godzinach — malując *alla prima* (tj. na kolanie) sposobem szkoły weneckiej — robił obraz, który mógł uchodzić za rzecz skończoną. Wtedy dopiero zdumiony zrozumiał, czy można w ciągu jednego roku wykończyć tyle i takich dzieł sztuki... Widząc tak niesłychaną szybkość „robienia pędzlem," przekonał się, że malarz XIX w. nie potrzebuje na to nawet pół roku. „Nic też dziwnego — powiada zachwycony — że w kilka tygodni zostały wykończone wszystkie prace, które z sobą przywiózł." Wówczas to dopiero pojął słuszność przezwiska „Monsieur le Vapeur," którem go ochrzczono w Paryżu w czasie, gdy zrządził tam powódź rysunków, zaostrzających stępiony „flirtem giełdowym smak „Monsieur le Bourgeois" — do arcydzieł Shakespeare'a. I nic trafniejszego nad ten epitet: licuje on z „parowym" Rafaelem doby naszej. Do oglądania obrazów, tak na poczekaniu wykonanych, zaproszeni zostali między innymi i właściciele okoliczni. Nosi grzeszne ciało „kmiotka" perkalik maszynowy, czemużby duch jego nie miał spożyć i tego towaru?.. *Ko—r.*

KRONIKA.

Sprawy społeczne. Poruszono sprawę, aby w Towarzystwach ubezpieczenia na życie zastosowano ulgi dla osób, które zupełnie nie będą używały alkoholu. (Któż będzie sprawdzał wstrzemięźliwość?).

— Inspektor kopalni węgla hr. Renarda w Sielcach pod Sosnowicami, poddany pruski, Pohl, został wyda-

lony za granicę bez możności powrotu. W ciągu 30 lat pełnił on niedbale swe obowiązki, za niedozór nad bezpieczeństwem robotników w kopalni, powodujący mnóstwo wypadków, był kilkakrotnie pociągany do odpowiedzialności sądowej.

— Niektórzy składnicy węgla w Warszawie nie czekając nawet zniżenia się temperatury, podnieśli ceny z 90 do 95 kop. za korzec.

— Ministeryum skarbu postanawia zmniejszyć podatki ziemskie w razie klęsk żywiołowych (nieurodzaje, gradobicia, wylewy, pożary).

— Na przedstawienie rady gubernialnej dobroczynności publicznej w Warszawie o koniecznej potrzebie otwierania na prowincyi zakładów wychowawczych dla niemowląt podrzutków, ministeryum spraw wewnętrznych zwróciło się do wszystkich rad gubernialnych i miejskich z żądaniem wykazania funduszów i zapisów, przeznaczonych na tego rodzaju zakłady dobroczynne.

— Główny zarząd więzienny postanawia w ciągu roku bieżącego i przyszłego zakończyć wszędzie reformę w guberniach Rosyi europejskiej i urządzić ekspedycyę więzienną na wszystkich pograniczach państwa.

— Pisma ruskie donoszą, iż ma być wydane rozporządzenie obowiązkowego zamykania sklepów w dnie świąteczne.

Szkoły. Otwarcie przy ogrodzie pomologicznym w Warszawie nowej szkoły ogrodniczej nastąpi w r. p. z pewnemi zmianami w pierwotnym projekcie: program będzie teoretyczno-praktycznym z niższym kursem trzyletnim. Na naukę przyjmowani będą stali pensyonarze i praktykanci przychodni za 80 rs. rocznie.

— P. A. Knapczyńska i S. Wojciechowska podały prośbę o pozwolenie otwarcia w Warszawie szkoły bon. Zakład ma być z dwuletnim kursem dla dziewcząt posiadających elementarne przygotowanie, kształcących się na niższe nauczycielki do dzieci 3—10-letnich. Głównym programem będzie metoda froeblowska.

— W Petersburgu otwarto pierwsze kobiece kursy handlowe. Wstęp mają kandydatki, które ukończyły gimnazya lub instytuty.

Sprawy kolejowe Według referatu, przedstawionego radom zarządzającym kolei Wiedeńskiej, Terespolskiej i Nadwiślańskiej, urzędnicy familijni tych dróg, pobierający pensye od rs. 600, mają otrzymać dodatku z powodu drożyzny 10%, kawalerowie 6%. Żonaci, pobierający pensye 600—1200, otrzymują 8%; bezżenni tej samej kategoryi nic nie dostaną. Robotnicy warsztowi i niższa służba otrzymają 10%.

— Inspekcye kolejowe wydały rozporządzenie, aby naczelnicy stacyj udzielali wszelkiej pomocy osobom przewożącym chorych.

— Ministeryum wojny kończy w r. b. drugą seryę kolei w gub. północno-zachodnich. Obecnie w wileńskiej, kowieńskiej, grodzieńskiej i mohylewskiej wytknięto około 600 wiorst linij przygotowawczych.

— Główny zarząd kolei urządzi na każdej stacyi aptekę kolejową, z której lekarstwa będą wydawane bezpłatnie służbie.

— Wobec wzrastającej drożyzny, zarząd kolei Nadwiślańskiej zatwierdził podwyżkę płacy dziennej: rzemieślnikom warsztatowym pod 15—20 kop. dziennie i wyrobnikom po 5 kop.

Wystawy i zjazdy. W Petersburgu w końcu jesieni r. b. będzie zwołany zjazd fabrykantów papieru. Jednocześnie otwarta będzie wystawa papieru różnych fabryk.

— W Moskwie na zjeździe młynarzy poruszona będzie sprawa kredytu krótkoterminowego dla właścicieli młynów.

— Galicyjski wydział krajowy udzielił stowarzyszeniu *Zgoda* 400 złr. zapomogi na urządzenie nieustającej wystawy produktów przemysłu polskiego w Galicyi, Wiedniu, Peszcie i w innych miejscowościach za granicą, tudzież na prowadzenie biura informacyjnego o przedsiębiorstwach przemysłowych, handlowych, wynalazkach itd.

Konkurs. Komitet organizacyjny przyszłej wystawy ogniowej w Petersburgu ogłosił konkurs na napisanie przystępnego podręcznika, wykazującego najskuteczniejsze sposoby walczenia z klęską pożarów, w miejscowościach, niedających pewności bezpieczeństwa. Nagroda 300 rs. Podręcznik winien być napisany w języku ruskim.

Dla ułatwienia żydom emigracyi z Królestwa polskiego Generał Gubernator polecił, ażeby przy wydawaniu paszportów emigracyjnych nie żądano od Izraelitów składania zastrzeżonych kaucyj pieniężnych (po 75 rs. od pełnoletnich i 50 od małoletnich).

Jubileusz 70 rocznicy urodzin Virchowa uczczono w Berlinie z nadzwyczajną uroczystością. Liczne deputacye z kraju i zagranicy złożyły mu hołd i dary pamiątkowe.

Wypadki. Wykoleił się pociąg towarowy idący do Wrocławia. Jeden pracownik raniony, osiem wagonów zgruchotanych.

— Pod Epinalem we Francyi zetknęły się pociągi. Wiele ofiar w ludziach.

— W okolicy Medyolanu spotkały się pociągi. Kilka osób poniosło ciężkie rany.

Bibliografia. W. Wolski, *Burza*, poemat, str. 14, Warszawa.

— M. Gawalewicz, *Ćma*, materyały do powieści, str. 278, Warszawa, Gebethner i Wolff.

— A. Konar, *Bankruci*, powieść, str. 317, Warszawa, Gebethner i Wolff.

— A. Krechowiecki, *Szary Wilk*, powieść, str. 420, Warszawa Gebethner i Wolff.

— A. Kraushar, *Drobiazgi historyczne*, str. 372, Petersburg.

— D. G. Ritchie, *Darwinizm i nauki społeczne*, tłom. J. Potocki, str. 78, Warszawa, *Głos*.

Zmarli. Maksymilian Iskrzycki, w Krakowie, prof. uniwersytetu, b. dziekan wydziału filologicznego i dyrektor komisyi egzaminacyjnej.

— Maksymilian Rubinstein, w Warszawie, niegdyś współpracownik pism miejscowych.

— William Eerrd, w Kanzas, znany amerykański meteorolog.

— Dr. Rychard Rachwitz, powieściopisarz i nowelista, redaktor *Rheinisch. Westfälischen Tageblats* w Bochum.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Panu An. El. Nie.

Panu E. T. B. w Wiedniu. Dzieła tego wydać nie możemy; korespondenta w Wiedniu mamy.

Matematykowi. W dwu wskazanych przez Pana językach nie znamy poważnego dzieła ani o doborze płciowym u ludzi, ani o takim podręczniku hygieny.

Panu Br. Fr. Forma poprawna, treść bardzo powszednia. Można w poezyi powtarzać „starą historyę,“ ale odnowioną.

Panu I. L. Przybyć Pan może w godzinach wyznaczonych dla interesantów. Nadesłane utwory są jeszcze bardzo młodociane.

Uwaga. Redakcya rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu przechowuje.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою, Варшава 4 Октября 1891 г. Redaktor i Wydawca dr. fil. A. Świętochowski.